

## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocz-  
nie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80  
miesięcznie kop. 60.

Na Pradze w księgarni S. Rzymyńskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:  
kwartalnie rub. 2 kop 50. rocznie rub. 10.  
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Wydawca: **Piotr Laskauer.**

*Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.*

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za  
wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwar-  
talnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartaln. zł. 2 cent. 75, na prowincyi z prze-  
syłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim dla abonentów „Dziennika Poznańskiego:” w Po-  
znaniu kwartalnie 4,00 mk., z przesyłką pocztową 4,60.

## ZWYRODNIENIE.



(Objawy degeneracji, czyli anormalność zewnętrzna. —  
Przyczyny powodujące degenerację. — Wychowanie zapo-  
biegające rozwojowi cech anormalnych w dzieciach obar-  
czonych dziedzicznością).

Herbert Spencer, badając przez czas dłuższy, na podstawie biologii i psychologii, różne typy ludzkie, przychodzi do przekonania, że wszystkie razem wzięte, rozpadają się na trzy różne grupy, mianowicie: typ chwiejny, typ ewolucyjny i typ zwyrodniony.

Tego rodzaju klasyfikacja zupełnie jest zgodna z wynikami najnowszych badań naukowych.

Typem najbardziej obiecującym jest typ ewolucyjny, idący naprzód silnie i wytrwale, zdrowy na ciele i duszy, nie obciążony niebezpieczeństwem dziedzicznym. Takie rezultaty dają się otrzymać za pomocą doboru naturalnego, trzeźwości, życia czystego, moralnego, w połączeniu z higieną, stosownym odżywianiem, otoczeniem i warunkami bytu.

Typ chwiejny, to ten, który przez czas dłuższy utrzymywał się na jednym poziomie bez wyraźnego postępu lub cofania się. Osobniki, należące doń, odznaczają się utrudnioną, lub spóźnioną mową w dzieciństwie, raczkowaniem, niepewnym chodem, zamilowaniem do pięcia się i włożenia na drzewa, wskakiwaniem na meble, wchodzeniem na szafy, piece.

W tej notatce zatrzymamy się dłużej nad typem zdegenerowanym, gdyż warunki, w których żyjemy, wymagają od nas poznania tego zła, które dotąd było w ukryciu, zrozumienia przyczyn, powodujących go i zapobieżenia niebezpieczeństwu na przyszłość.

Należy pamiętać, że coraz większa liczba

zwyrodniałych osobników, tamuje postęp narodu i staje w poprzek ogólnemu dobru.

Degeneracja, czyli zwyrodnienie, jest wynikiem dziedziczności, a więc zarówno najniższe, jak i najwyższe warstwy społeczne, temu objawowi, podlegać mogą.

Nauka dowiodła, że złe skłonności, jak morderstwo, złodziejstwo, rozpusta na równi są wrodzone z cnotą, dobrocią, uczciwością, że w skutek złych, czy dobrych namiętności rodziców, dzieci przychodzą na świat z moralną zarazą, a nie jako „aniołki niewinne,” choć często na nie wyglądają.

Jest to smutny fakt, a jednak nie bezna dziejny, gdy się zważy drugi, niemniej stwierdzony, a mianowicie moc i wpływ wychowania, otoczenia, wpływ pracy, która uszlachetnia i podnosi człowieka.

Zwyrodnienie wewnętrzne, idzie niemal zawsze w parze z cechami anormalnymi, widocznymi na zewnątrz.

Głowa i twarz ludzka przedstawiają bogate pole dociekań, niby lustro, odbijające symetryę wewnętrzną. Każda asymetrya, czyli niezgoda w ogólnej harmonii, może być objawem zwyrodnienia, płaszczyzn wyższych, mózgowych i oznaczać pewien brak.

Po za głową i twarzą obserwować możemy asymetryę rąk, nóg, palców, paznogi, która się objawia w ten sposób, że dany członek jest zbyt krótki, lub zbyt długi, nierównej długości, zgrubiał w stawach i t. d.

Obowiązek pilnego obserwowania dziecka, przedewszystkiem leży na rodzicach, którzy na pewnych podstawach naukowych, powinni badać swe dzieci, by móżdż zapobiedz złemu. Małżeństwa, kojarzące się dotąd w złe rozumianej wstydlivosti ukrywają wzajemne braki przed ślubem. O chorobach familijnych, skłonnościach dziedzicznych, nie mówi się nigdy przed ślubem. Z czasem jednakże wszystko wychodzi na jaw, złe się już stało,

trzeba zapobiedz jego skutkom, nie dozwoląc cierpieć dzieciom za konwencyonalne kłamstwa rodziców.

Badania takie mogą mieć tę ujemną stronę, że zbyt ostrożą wzrok i w niekompetentnych mogą wywołać cały szereg urojeń, co się często obserwować daje u osób nie obeznanych z medycyną, które po przeczytaniu jakiegoś specjalnego podręcznika, podlegają różnym cierpieniom; ale już lepszy zbytek ostrożności, okupiony niejedną chwilą niepokoju, aniżeli jej brak. Zresztą, jeżeli nie przed ślubem, to po ślubie każde z małżonków wie i wiedzieć musi, co właściwie może zagrażać dzieciom, a jeżeli nic nie zagraża, niema też powodu do troski.

Lombroso, jeden z pierwszych pionierów teorii o dziedziczności, pomimo wielu lat spędzonych na badaniu kryminalistów, potwierdzających jego teorię, mówi z całą stanowczością: „Tylko stosowne wychowanie może zrobić człowieka uczciwym i prawym. Brak wychowania, nędza, złe towarzystwo, otoczenie, a więc okoliczności robią morderców, podpalaczy i prostytutki.”

Matce Benjamina Franklina, powiedział znany podówczas frenolog, że siedmioletni jej syn skończy na szubienicy, gdyż ma wszelkie cechy znamionujące: pijaka, złodzieja, a nawet mordercę. Mały Franklin usłyszawszy te słowa, które do rozpacz doprowadziły jego ukochaną matkę, postanowił przekonać ją, że ten „uczony pan” nie ma racyi, że on pomimo tego wyroku stanie się człowiekiem prawym i uczciwym. O rezultatach tej pracy nad sobą wiemy wszyscy. Pomimo tego, nie należy mówić dziecku o ciężących nad niem niebezpieczeństwach. Mało dzieci znieść może bez szwanku na ciele i duszy, podobne rewelacje. Rodzice, społeczeństwo, szkoła, domy wychowawcze i ochrony powinny o tem wiedzieć i otaczać podwójną troskliwością

i opieką dzieci o cechach anormalnych, a przede wszystkim umieszczać je wśród otoczenia i okoliczności, sprzyjających rozwojowi szlachetnych i prawdziwie ludzkich pierwiastków.

W dotąd przedsięwziętych badaniach zwrócono uwagę na pięć głównych pomiarów: 1) wzrost, 2) wagę, 3) szerokość piersi, 4) siłę ujęcia czyli garści, 5) wrażliwość na ból. Pomiaru te na podstawie tablic porównawczych Quetelet'a, Key'a, Pozter'a i innych, robili: Morel, Lombroso, Charcot, Spencer, H. Lankester i Dawson. Poniżej podajemy cyfry procentowe, pomiarów porównawczych pomiędzy dziećmi normalnymi a anormalnymi, podług tabliczki Dawsona, zebranej wśród 60 tysięcy dzieci w więzieniach poprawczych Anglii od roku 1883-go do 1898-go i 70,000 dzieci w więzieniach poprawczych Stanów Zjednoczonych, na przeciąg lat 15-tu.

Większy procent od dzieci normalnych:

Ch.	Dz.	Ch.	Dz.	Ch.	Dz.	Ch.	Dz.	Ch.	Dz.
Wzrost	Wzrost	Waga	Waga	Szerokość piersi	Szerokość piersi	Silniejsze ujęcie	Silniejsze ujęcie	Większa wrażliwość	Wrażliwość
8%	14%	12%	59%	26%	11%	40%	44%	92%	80%

Mniejszy procent od dzieci normalnych:

Ch.	Dz.	Ch.	Dz.	Ch.	Dz.	Ch.	Dz.	Ch.	Dz.
Wzrost	Wzrost	Waga	Waga	Szerokość piersi	Szerokość piersi	Ujęcie	Ujęcie	Wrażliwość	Wrażliwość
92%	86%	84%	37%	70%	73%	56%	56%	4%	12%

Nadto dzieci badane okazywały więcej cech chorobliwych i mniejszą żywotność ogólną w porównaniu z dziećmi normalnymi.

Ciekawe dane co do wagi i wzrostu prostytutek i złodziejek w Rosyji zebrała p. Tarnowska. Dane te dowodzą, że kobiety te były znacznie niższe, o wiele cięższe i mało ruchliwe.

Wrażliwość podana na tej tablicy, stoi w silnym kontraście z tablicą Lombrosa, ale dzieci włoskie przez niego badane, były zdrowe, a większość tych dzieci, podlegała chorobom, w szczególności chorei \*) i newrozii, nie więc dziwnego, że dzieci te były o wiele wrażliwsze na ból.

Drugą grupę pomiarów stanowi głowa i twarz.

Ogólnie biorąc, głowy delikwentów o wiele są mniejsze od głów ludzi normalnych. Stosunek ten, cyfrowo tak się przedstawia:

u chłopców o 1.7 ctm. mniejsze  
u dziewcząt o 6.0 " "

Większość głów kryminalistów odznacza się kolistością. Stosunek jest 92—100 u chłopców, 95—100 u dziewcząt. Są to bez wątpienia typy, a raczej przeżytki ras niższych. Im rasa wyższa, doskonalsza, tem szlachetniejszy, bardziej wydłużony kształt głowy.

Twarz delikwentów także o wiele jest krótsza i szersza, o kościach policzkowych spłaszczonych lub wydatnych. U chłopców stwierdzono 2.73% szersze od normalnych, u dziewcząt zaś o 3.54% szersze.

Te wyniki zgadzają się z pomiarami antropologów kryminalistycznych: Ferriego we Włoszech, Biliakowa i Tarnowskiej w Rosyji.

Dawson znajduje, że najszersze twarze mają: podpalacze, rozbójnicy i prostytutki.

Zbyt długie, jak i zbyt szerokie twarze mają rasy pierwotne, Chińczycy, Lapończycy, Negrzy afrykańscy i Hottentoci, dwie ostatnie grupy mają twarze niezmiernie wąskie. Mówimy tu o ludziach dorosłych, bo wiadomo, że dzieci głowę i twarz mają stosunkowo bardzo szeroką.

Szerokość głowy i twarzy delikwentów także przypuszczają, że albo z dzieciństwa myśli i woli nie zdołali wyrosnąć, albo też przedstawiają typ wsteczny, powrotny.

Morel, ojciec teorii o degeneracji, i Lombroso, cytują cały szereg stygmatów przyrodzonych, dowodzących zwyrodnienia. Z pośród wielu, zbyt specjalnych, dla tej notatki, wymienić należy: duże znaki rodzime, jak: myszy, włosom porośle, pieczętki, ogromne brodawki, szóste palce u rąk i nóg, pazury, palce u nóg podwinięte pod spód lub zrosnięte w kształcie pletw. Zbyt małe, lub zbyt wielkie uszy, nosy, zęby, wystające szczęki, grube, wydatne wargi, odstające uszy, krótka albo zbyt długa szyja, kark gruby, wystający.

Co do uszu zbyt dużych, a szczególnie odstających, to spotykamy je u chłopców mających skłonności do podpalania, kradzieży, u dziewcząt rozpustnych.

Często spotyka się u kryminalistów znaczną różnicę pomiędzy długością ręki prawej i lewej i piersi zbyt wyniesione, zbytek rachityczny z epoki dziecięcej, a także wady wzroku i słuchu.

Wybitną cechą kryminalistów jest brak uwagi.

U dzieci nieuwaga, ciągle przeskakiwanie z przedmiotu na przedmiot—to rzecz normalna, ale z wiekiem musi nastąpić opanowanie tego niepokoju, a jeżeli człowiek nie posiada, albo nie wyrobił w sobie tyle siły woli, by mózdz zapanować nad nim, — to znaczy, że jest typem anormalnym.

Uwaga wymaga wysiłku woli, a na to typ zdegenerowany, zdobyć się nie może.

Sully mówi, że uwaga jest świadomą koncentracją myśli, skupieniem jej i zatrzymaniem na przedmiocie niewidzialnym, duchowym.

Lombroso dowodzi, że umysł kryminalisty podlega takim ciągłym i różnorodnym zmianom, że dla człowieka zwykłego jest to wprost zdumiewające. I tu, jak u dziecka, jest pragnienie silniejsze nad rozagę i pamięć kary—dogodzenia popędowi chwili.

Pamięć szwankuje też ogromnie u delikwentów, szczególnie u kobiet; za to co do inteligencji i możliwości pojmowania, to kobiety i dziewczęta przewyższają kilkakrotnie rówieśnice swe w warunkach zwykłych.

Rozbierając typy zwyrodniałe, znajdziemy wśród nich bardzo mały procent dzieci rodzin intelligentnych, za to główna ich liczba rekrutuje się z mieszkańców wielkich miast: pijaków, nierządnic, z całej tej wielkiej, nieoświeconej nędzy miasta. Cyfry, które tu podamy procentowo, są smutne, a jednak prawdziwe. Rodzice dzieci karanych za różne

przestępstwa, albo dzieci same podawały je, a zatem wątpić tu trudno.

Z ogólnej cyfry 120,000 — 80% chłopców miało jedno z rodziców pijaków, 45% dziewcząt miało jedno z rodziców pijaków — 8% dzieci miało oboje rodziców pijaków.

Żadna namiętność, w tak szkodliwy sposób nie wpłynęła na degenerację rasy, jak pijaństwo. Dostyc powiedzieć, że podług Charcot'a, żaden atom nasienia ojca, pijaka, nie jest wolny od zakażenia alkoholem. Dugdale, w swem słynnym studium rodziny Juków, przeprowadza drzewo genealogiczne pięciu siostr, przez pięć pokoleń, z następującym rezultatem:

Razem z pięciu kobiet, osób 540.

Z tych: 23.5% dzieci nieślubnych  
52.4% prostytutek  
20.2% chorowitych  
56.47% kalek (ślepi, niemi, waryaci, syfilysty etc.)  
45% pijaków  
56% złodziei  
20% zbrodniarzy.

Otoczenie, w jakim wychowują się dzieci pijaków, jest wprost ohydne: matki bite, przepracowane, głodne, kłótlive; ojcowie bez stałego zajęcia, leniwi i brudni. W suterynie nędza i wilgoć, brak powietrza, kłótnie, wzwiewy alkoholu. W takiej to atmosferze wraźta dziecko i tak już skłonne do złego. A jednak dzieci te, przeniesione w słoneczną atmosferę dobroci, dostatku, spokoju religii i moralności mogą być uratowane.

Świadomość ta powinna nas zagrzać do czynu! Każde miasto w bezgranicznym swem miłosierdziu, w zrozumieniu swego obowiązku, znajdzie środki dla zapobieżenia złemu, dla uratowania tysięcy!

W Anglii i Ameryce istnieją „Domy Działki“, które powstały z bardzo małych środków, a rozwijały się stopniowo. Nie są to przytulki ani ochrony, są to domy rodzinne, dla tej działki, która rodziny nie ma, dla dzieci pijaków, nierządnic, dla „dzieci ojczyzny“, „Childrens Homes“ tak słusznie, tak pięknie nazwane. Zapewne, że i z pośród tych, którzy opuszczają te mury, w których nauczono ich modlić się, pracować i kochać, znajdują się tacy, których złe skłonności zwyciężą, którzy zejną na manowce, są to rzeczy nieuniknione i zniechęcić nikogo nie mogą.

Baine mówi: „Do najgorszego nawet można przywyknąć; tylko po raz pierwszy dusza się istotnie wzdryga przy popełnianiu występku. Następnie coraz lżej, coraz słabiej odzywa się sumienie, wreszcie cichnie na zawsze.“ Tem się tłumaczy brak poczucia wstydu w prostytutce, recydywiscie, złodzieju, lub mordercy.

Każde z nich czuło po raz pierwszy; powtarzanie się tych wypadków, oswoiło ich zupełnie.

Nie można dopuścić do upadku, a to właśnie jest zadaniem, obowiązkiem społeczeństwa.

Czyż nie lepiej zapobiegać, niż leczyć?

Czyż nie lepiej budować „Domy dla Działki“, aniżeli domy poprawcze i najwygodniejsze nawet więzienia?

Jeżeli robimy wiele dla uniknięcia epidemii i zarazy fizycznej, czyż nie należy tem

\*) Chorea—pląsawica.

gorliwiej przeciwdziałać zarazie moralnej, która pod różnemi pozorami i postaciami dostaje się do domów naszych, kala dusze dzieci, burzy ogniska domowe i niweczy szczęście i spokój rodziny?

Dużo dobrej woli, dużo pracy wspólnej, a walka nie okaże się bezowocną. I my znajdziemy możność wychowania w „Domach Działwy“ całe zastępy kobiet uczciwych, skromnych i pracowitych, dzielnych robotników, których jedyną rozrywką i namiętnością będzie dobra książka, dalsza praca nad sobą. Oto odpowiedź na przerażające cyfry zwyrodniałych, na zastępy kryminalistów i nieszczęśliwych ofiar prostytutki. Zamiast zwyrodnienia, będziemy mieli typy ewolucyjne, idące naprzód w rozwoju ciała i duszy.

Dla nas, Polaków, szczególnie ważną, konieczną jest ta praca... Przecież byliśmy przez wieki całe „Narodem życia czystego i czystej duszy.“ Warunki bytu, wpływy postronne, mogły nas cofnąć, a raczej odwieść od wytycznej linii, przy pracy jednak pokonać to możemy.

A że pracę zacząć należy od najniższego szczebla, więc budujemy „Domy Działwy“ dla dzieci nędzy i upadku!

Anna Grudzińska.



Marya Rodziewiczówna.

## Joan. VIII, 1—12.

POWIEŚĆ,



(Ciąg dalszy).

W ten sposób donudziła się do lata. Postanowiono wyjechać do Karlsbadu, gdyż Salnicki potrzebował kuracji. Mieli tedy jechać we dwoje, a dziecko zostawić u dziadków, ale wobec perspektywy pobytu z mężem u wód, Manusia wolała spędzić lato u rodziców: „z dwojga złego,“ jak szczerze wyznała matce, i nudziła się w dalszym ciągu na wsi do Września, i wróciła do Warszawy w jakimś desperackim usposobieniu, przejęta do głębi przekonaniem, że jest nieszczęśliwa, że życie jej jest zmarnowane, złamane, że ją los srodze pokrzywdził. Ożywiła się jednak zaraz, bo trzeba było robić sezonowe stroje, no — i znaleźli się satelici.

Dobre to było do zabicia czasu i odurzenia choćby chwilowego. Otóż pewnego razu jakiś próżniaczy spacer zawiódł ją na wystawę Krywultra i tam obojętnie, pobieżnie oglądając obrazy, stanęła przed jednym, jak zahypnotyzowana. Był to znany jej dobrze morski brzeg z Bretanii, ten sam, tak pamiętny.

Spojrzała na podpis, nic jej nie wyjaśnił, nieznane nazwisko. Spytała tedy kassyerki.

— Pani życzy sobie nabyć? To studium malarza Brzechwy. Możemy się listownie porozumieć, mieszka stale w Paryżu.

Manusia wróciła znowu do sali zawiedziona. Tamten był Francuzem, był więc to tyl-

ko dziwny zbieg okoliczności. Dziwny istotnie — ta sama skała bazaltowa, ślizka od lizania fal, ten sam dziwaczny kamienny krzyż. Kupi ten obraz — musi kupić. Dała polecenie i adres i czekała niecierpliwie rezultatu. Po tygodniu otrzymała odpowiedź i cenę, którą Salnicki bez najmniejszego protestu zapłacił, i obraz powieszono w buduarze Manusi.

Wtedy go dopiero Salnicki zobaczył i zdumiał.

— Co? sto rubli za te pół łokcia płótna? I co to właściwie jest? Co to ma przedstawiać? Rozbestwili się ci pendzlarze i drwią w żywe oczy z publiczności.

— Już lepiej milcz, jak czego nie rozumiesz! — oburzyła się. — To jest *plenair* świetnie uchwycony.

— Niech i tak będzie, jeśli cię to cieszy, kup sobie jeszcze więcej podobnych.

— Mamie to nic nie przypomina?

— To! — Zarębina włożyła pince-nez i obejrzała od światła i pod światło. — Może być, widziałam coś podobnego, jakies premium do „Tygodnika.“

— Et, dla was stworzono oleodruki! — oburzyła się Manusia, i nawet nie raczyła podziękować mężowi.

Od tej pory zaczęła interesować się malarstwem i bywać na wystawach; na jakimś raucie poznała się z jednym z malarzy i spytała o Brzechwę.

— O, to szczęśliwy chłop! Ma okrutny zbytek do Ameryki, przytem odziedziczył grubo po stryju, który we Francji dorobił się fortuny w przemyśle. On tu wcale się nie pokazuje, ale nasi bywają u niego w Paryżu. Dobry kolega, zna go kolonia.

— Stary czy młody?

— Młody i podobno ma u pań wielkie powodzenie.

Manusią jeszcze bardziej rozciekawiała ta rozmowa i myślała o tym wypadku parę tygodni, potem znudziła się, zniechęciła — i zapomniała i o obrazie, i o jego twórcy.

W karnawale tego rokuomal się nie zakochała w tenorze Włochu, ale gdy się dowiedziała że ma żonę i dwudziestoletniego syna, zapał jej ostygł.

Potem przeffirtowała na potęgę przez trzy bale z rozczochranym dekadentem, ale ten ją oburzył swoim cynizmem — i tak uchowała swą wiarę małżeńską do postu — i jak zwykle poczęła się nudzić na zabój. I wtedy pewnego dnia, gdy szła bez celu na spacer, by zabić czas i nabrać apetytu, spotkała oko w oko towarzysza z morskich kąpiel.

Oboje drgnęli, zatrzymali się. Jej krew zalała policzki, on zaśmiał się po swojemu — szczerze, niefrasobliwie, i jakby się wczoraj rozstali, uchylił kapelusza, pozdrawiając swobodnie:

— Tiens, quelle chance, bon jour — comment va!

— Co pan tu porabia? — odparła, ochłonawszy.

— Je vagabonde, comme toujours. Arrivé hier! Et vous?

— Homiciliée depuis deux ans.

— Mariée.

— Zkąd pan to wnosi?

— No, widzę. Pożegnałem Primaverę — witam Dogaresę.

— A pan tu na długo?

— To zależy, jak mi się tu podoba.

— Życzę zatem wesołej zabawy, i żegnam! — rzuciła urażona bezceremonialnością. Czy on myśli w dalszym ciągu nie prezentować się?

— Do widzenia, mam nadzieję.

— Wątpię, czy się spotkamy.

— Ja nie wątpię. Czy pani nie wierzy w przeznaczenie?

— Nie!

— Ja tylko w to. Przeznaczenie sprowadziło nas tam nad morze — ono nas teraz sprowadziło i jesteśmy sobie nadal przeznaczeni. Jestem pewny, że nie upłynie tydzień, a będziemy już codziennie się spotykali. Do widzenia zatem!

— O, to pan się bardzo myli. Możemy być rok w Warszawie i nigdzie się nie spotkać, nigdzie — nazywam w towarzystwie, — bo ulica się nie liczy.

— Parions — do tygodnia.

— Och — do dwóch nawet.

— A discrétion?

— Soit! — roześmiała się pewna siebie.

Z tem się rozeszli. W domu Manusia nie wspomniła nic matce, że spotkała przygodnego znajomego.

Zarębina zresztą nic o tej znajomości nie wiedziała.

W trzy dni potem Salniccy byli na raucie dobroczynnym, gdzie Manusia miała własny namiot i zajadła karotowała znajomych, gdy wtem ujrzała zdumiona, że mąż rozmawia z „jej“ nieznajomym. Po chwili zbliżyli się do niej i Salnicki przedstawił:

— Manusiu, pan Brzechwa, malarz, chce się z tobą zapoznać.

Pomimo całej wprawy i rutyny światowej, nie umiała ukryć wrazenia i znaleźć słów zdawkowej uprzejmości.

On z uśmiechem rzekł:

— Pragnąłem poznać i podziękować za zlitowanie się nad moją pracą. Oprócz mnie, nikt nie lubił, ani chciał mieć wspomnienia tego zapadłego kąta Bretanii, a oto pan radca mi mówi, że pani ten obrazek nabyła. Nie marzyłem, że tak piękną i uroczą będzie mieć właścicielkę.

Mówił po polsku, poprawnie, ale z lekkim akcentem. Ochłoneła i odzyskała towarzyską rutynę.

Po chwili rozmawiali już we troje o zagranicy, potem o Warszawie, dokąd przyjechał wezwany przez chorą siostrę. Okazało się, że Salnicki znał tę siostrę, a raczej nieboszczyka jej męża, z którym nawet kollegował w Towarzystwie.

Siostra była o wiele starszą od Brzechwy, z rodziny zostali tylko dwoje, pospieszył więc na jej wezwanie, znalazł bardzo osłabioną i zdenerwowaną, ale już rekonwalescentką, — postanowił zatem zabawić czas jakiś, zanim zupełnie nie wyzdrowieje i nie wzmocni się.

— Zapewne zamieszkał pan u siostry? W jej wspaniałej kamienicy są podobno i pracownie malarskie? — spytał Salnicki.

— Nie, rozgościłem się w pracowni kollegi Brożka, który wyjechał do Egiptu.

— A to na jakiej ulicy? — badał Salnicki.

— Na Marszałkowskiej, bliżej ogrodu, nie pamiętam numeru, orientuję się po cukierni.

— Ach wiem, wiem! Olbrzymia przechodnia kamienica. Stręczono mi ją kiedyś, omal nie kupiłem. My mieszkamy na Nowym-Świecie, róg Alei, we własnym domu.

— Czy panowie co kupują? — spytała Manusia z uprzejmością kupcowej. — Mam perfumy, wody toaletowe, pasty, mydełka — nie drogo, w najlepszym gatunku.

— Ależ po to tylko jestem, chcę skorzystać z okazji. Jestem bardzo rachunkowy i oszczędny! — śmiał się Brzechwa.

Zaczął wybierać, przebierać, targować się uparcie, droczyć i przekomarzać, a wreszcie płacić, szukać pieniędzy, narzekać, że drogo, jeszcze się targować.

W około wszyscy się śmieli i bawili, Salnicki bodaj najwięcej. W końcu Brzechwa za dwa flakony i mydło zapłacił sto rubli — i to kompletnie już zachwyciło radcę. Poszli obadwaj do bufetu, a potem widziała ich Manusia wciąż razem. Nie zdziwiła się też, gdy jej mąż powiedział po powrocie do domu, że Brzechwę zaprosił na ich „Wtorki.“

— To, widzisz, żaden hołysz i drapichrustmalarz. Odziedziczył cały majątek tego Brzechwy, co to, wiesz, dorobił się fortuny w Paryżu, a weźmie i po siostrze wszystko. To solidny człowiek i zupełnie do rzeczy. A przytem, wszyscy o nim wiedzą, to widzisz, marka, a gdzie on nie był, czego nie zna! Zabawi całe towarzystwo.

Wenta przeciągnęła się późno, po niej Brzechwa zabawił jeszcze parę godzin z kolegami na kolacyi, i było już po północy, gdy wracał do domu. Głowa go trochę bolała, więc poszedł pieszo.

Trochę myślał o Maniusi, i uśmiechał się, jakby z udanego figla. Potem przedstawił ją sobie w stroju dogaresy, taki typ Wene-cyanki Werończyka, złoto-włosą, majestatyczną, w sztywnych strojach średnich wieków — w gondoli, pod pióropuszem, w królewskiej pozie, w otoczeniu służebnic i lutnistów.

Na ulicy padał śnieg, było ciemno i zimno, a on widział zachód letni na lagunach, i taką gondolę, sunącą u portyku pałacu Dożów.

Wtem na rogu ulicy Królewskiej spostrzegł stojącą pod latarnią kobietę. Spojrzał na nią przelotnie i minął. Kobieta zaczęła za nim iść, i choć go nie zaczepiała, zniecierpliwil go ten pościg. Zatrzymał się, stanęła i ona, zmierzyli się oczyma i uderzyło go, że nie miała miny wyzywającej i zuchwale cynicznej, ale raczej ponurą. Czarne jej przepaściste oczy patrzyły nań tragicznie, wzrokiem głodnego zwierza.

Chciał ją odpędzić, może zwymyślać, ale rzekł:

— Po co się włóczysz na taki czas?

Ruszyła ramionami.

— Bo nie mam karety, ani gabinetu, a żyć trzeba! — odparła z jakimś sztucznym humorem.

— No, to masz rubla i nie włócz się za mną!

Zdawało się, że się zawahała chwilę, ale wreszcie w milczeniu wyciągnęła rękę, zgra-biała od zimna i wzięła monetę. Potem stanęła znowu pod latarnią.

— Nie idziesz do domu? — spytał.

— Z rublem! — zaśmiała się gorzko. — Spróbuj przeżyć we troje dzień za rubla!

Dwóch mężczyzn ukazało się na drugiej stronie ulicy — poszła szybko ku nim i zginęła mu po chwili z oczu.

— Przepyszne ma oczy! — pomyślał i poszedł dalej.

Zabawił go kontrast tej sali przepychu, gdzie bogate i cnotliwe matrony, bawiące się i flirtujące, obdzierały mężczyzn na cele filantropijne, i tej ulicy w zimową noc, oddaną głodowi i rozpuście.

W ruchliwym mózgu artysty zbladł obraz przepysznej kobiety-dogaresy, zasnęła się postać kobiety głodu. Obejrzał się za siebie i pożałował, że tej nędzarki nie zamówił sobie na jutro do szkicu. Ale nie było jej już widać, poszedł tedy ziewając do domu.

Nazajutrz złożył wizytę Salnickim, zastał oboje, został przedstawiony Zarebinie i zabawił godzinę. Wieczorem spotkali się w teatrze. Nieznacznie zawiązywał się bliższy stosunek. Manusia była pozornie bardzo sztywna, i doskonale udawała, że go nie zna, on się bawił wybornie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Paź słońca.



Zbudził mnie w czas zarania  
Paź słońca złotolicy,  
Do mego wpadł mieszkania  
Serduszkim w okiennicy.

Określił się na pięcie,  
Udając wzrokiem zucha,  
I począł mnie zawzięcie,  
Jak mściwa dręczyć mucha...

Przy śpiącym w lożu gnuśnie  
Wnet przysiadł się niecnota,  
To mnie po nosie muśnie,  
Po brodzie załaskota,

To ciało niespodzianie  
Niby żądkiem kole:  
— Rzuć spiochu swe posłanie,  
Z lemieszem wynijdz w pole!

Nie żądam krzywdy twojej,  
Twe dobro mam na względzie,  
Gdy wzrok się twój oswoi  
Z mym blaskiem — lżej ci będzie...

Wschodząca słońca era  
Drzemiące razi oczy,  
Lecz również je otwiera  
Na prawdy kształt uroczy...

Zapału wznieca tyle,  
Ile go duszy trzeba,  
By się o własnej sile  
Wzbić mogła aż do nieba...

Dłatego w czas zarania,  
Paź słońca złotolicy,  
Ja wpadam do mieszkania  
Serduszkim w okiennicy...

Wiktor Dzierżanowski.



## ŻONY MĘŻÓW PRACUJĄCYCH.



V.

M A Ż.

„Nikt nie jest tak *dobrym*, jak go *miłość* maluje; nikt nie jest tak *zły*, jak go *nienawiść* czerni.“

Po zamążpójściu, po pierwszych słodkich chwilach uniesienia, czasu i zachwyty, zbliża się powoli rzeczywistość życia. Idzie ona krok za krokiem, dzień za dniem i z marzeń, złudzeń ślepej miłości zdziera listek po listku, kwiat po kwiecie, aż wreszcie zostaje prawda, niczem nie okrywana.

Okazują się pewne wady, pewne jakieś różnice, odcienia charakterów, odmienne nawyknienia lub dążenia, a ludzie nazywają to zaraz rozczarowaniem i powiadają, iż krótko trwa szczęście w małżeństwie.

Pan lubi to, pani tamto, pan woli życie ciche, pani huczne, lub przeciwnie. Pan mie-wa godziny posępne, pani zdarzają się także dnie listopadowej chmurności, ten bywa zazdrosny, a ona tęskni do zabaw, lub znów przeciwnie, ona jest samolubna, i żąda, ażeby ją tylko mąż widział, słyszał i o niej tylko myślał.

To wszystko są zwykle codzienne akty życiowej sztuki. Rozczarowanie, czyli lepiej rzec, poznanie się wzajemne wśród wspólnego życia, musi przynieść pewne także wyrozumienie i pobłażanie na ludzkie skłonności oraz nawyknienia.

Nie wolno jednak kobiecie czynić z takich małych czasem ułomności gromów nieszczęścia i nie należy narzekaniem truć życia całego dla tego, iż mąż nie jest już tem, czem był narzeczony, albo iż mąż nie jest takim, jakim był pan X. Z., gdy nadskakiwał panie, jako konkurent.

Z żon tworzą się zwykle dwa typy... Jedne, które ślepo i niby bałwochwalczo wierzą swoim mężom, uważając ich tak za bożków i panów swoich, iż nie mogą pojąć, jak można mieć odrębne zdanie od zdania męża.

I drugie, które znów patrzą na swoich mężów z góry, z wysokości jakiegoś poświęcenia się dla nich, jakby mezaliansem chciały uważać swoje zameżcie, które wiecznie i bezustannie narzekają na swój los, na wymogi męża, na złamane życie i t. d., i t. d.

Pod typ pierwszy da się podporządkować jeszcze bardzo wiele odmian żon zaślepionych, pod typ drugi możnaby jeszcze wliczyć ogromny szereg żon, które w rozmaity sposób obowiązki swe łamią i depcą.

Chcemy zaś na jedno przedewszystkiem zwrócić uwagę.

Mąż nie jest tylko machiną, zarabiającą tyle a tyle rubli miesięcznie, na dom, chleb, opał, ubranie i rozrywki.

Niestety, — nie rzadko znaleźć żonę, która przecie to tylko wie, iż gdyby męża brakło, brakłoby mieszkania, wygody i dostatku.

A jeśli mąż-urzędnik, przy ciężkiej i mordernej pracy nie może dostarczyć żonie tyle grosza, ile ona by go mieć pragnęła, wtedy powtarzają się ciągle nieszczęścia i rozpacz,

pani jest bardzo biedna, życie jest okropnie czarne, zamażpójście to niewola ciężka.

I biedak niejedną, wracając po 8 — 9-cio godzinnej pracy z biura, miast chwil odpoczynku i ochłody w cichym domu, musi znosić wymówki, musi słuchać płaczu i jęku... aż wreszcie radby uciekać i szukać kąta na wytchnienie.

Tamta żona gniewa się, iż mąż nie chce z nią iść na wizyty, ale nie pomyśli, że przez ten czas długiego przedpołudnia, gdy ona nudziła się próżniactwem, mąż jej mozolił się i pracował wytrwale.

Tamta żona chce, żeby mąż skrzyczał służącą w kuchni, która w jakiejś drobnostce nie dogodziła „pani“, a nie rozważy, iż człowiekowi temu należy dać spokoju chwilę i nie drażnić go skargami małostkowemi.

Inna żona wita męża wracającego z biura miną kwaśną, tragiczną, ponurą...

Pyta się biedak, co ci jest? niepokoi, czy jakie zmartwienie? czy chora?... a „pani“ długo, długo ciągnąc tragiczną scenę, wreszcie na usilne prośby wyjawia, iż obrażona jest na męża, bo wczoraj przy obiedzie powiedział, że trzeci raz dostaje bieliznę bez guzika...

Zdaje się to komu nieprawdopodobne?...

Oby było nieprawdą!...

Niestety!... możnaby napisać dłuższą rzecz, jak trylogia Sienkiewicza, gdyby się miało przedstawić te wszystkie typy żon i te ich wszystkie sceny, jakimi one biednych, spracowanych mężów grzebią i męczą.

Nie wszystkie takie, wszak zgoda?

Są wszakże najlepsze żony, najszlachetniejsze towarzyski życia, które nigdy nie dorzuciły ciężaru do brzemienn prac męża, lecz owszem, starały się je zawsze lżejszemi uczynić.

Lecz, niestety, o tych najlepszych nie gawędzimy, bo chcemy mówić o wadach, a nie o cnotach.

Mąż ma być dla żony opiekunem, przyjacielem, towarzyszem, ale zarazem ma on prawa człowieka ciężko pracującego, i nie wolno mu domu zmieniać na miejsce ciągłych udręczeń, wymówek, oraz skarg.

Przedewszystkiem, dom ma być mężowi zawsze miły. Żona roztropna i kochająca szczerze, umie tak uczynić każdą chwilę przyjemną, iż z radością w dom wracać jej mąż zawsze będzie i nigdy z niego uciekać nie zapragnie.

Następnie, mąż powinien zawsze znachodzić w domu spokój i ciszę. Nic wstrętniejszego i bardziej odrażającego nad taki dom, w którym „pani“ gdera i gdera, krzyczy i gniewa się, rzuca i trąca wszystkim, aż zdaje się, pioruny biją dookoła.

Dla takich żon gderliwych i terkoczących dzień cały, tracą mężowie tak rychło serce, iż ani spostrzegą się „panie“ zbyt czynne, kiedy przez ścierkę od kurzu lub talerz zbity, zraniły męża i dla drobnostki lichej popsuły szczęście całe.

Mężczyźni lubią niezmiernie zegarkowy ład w domu. Więc konieczne powinna się o to „pani“ domu troszczyć, ażeby w godzinach stale oznaczonych spełniano czynności ważniejsze.

Zniecierpliwili to i rozgniewa męża, jeśli na śniadanie czekać musi kwadrans, jeśli na

obiad czeka pół godziny, jeśli lampa na jego biurku nigdy nie jest dobrze oczyszczona, jeśli parasola nie znajdzie nigdy na swoim miejscu, jeśli mu dają raz po raz potrawy, których on nie lubi i t. d. i t. d.

Słowacki w liście do matki pisał:

— „Młode nasze Polki zawsze przebywają bardzo piękne krainy marzeń, aby się kiedyś zamknąć i zakopać w najnudniejszej rzeczywistości.“

To samo można powiedzieć o żonach.

Jakoś nagle, po zamażpójściu, spadają tak ze świata ideałów, piękna, dążeń podniosłych, iż istotnie zakopują się w najnudniejszej rzeczywistości, jak gdyby chciały dowiedzieć, iż wszystkie poprzednio głoszone szumne zdania i poloty ducha, były tylko pozowaniem na złapanie męża, a kiedy ten już jest,—nie trzeba się dalej wysilać.

Mężowie więc czują to bardzo, iż żony ich odstępują, jakoby w pół drogi zostawiają samych, wracają do codziennych, monottonnych zajęć, ani troszcząc się o to, czem dusza męża żyje, w czem się lubuje, do czego spieszy.

Mąż, który niezmiernie lubi muzykę, nie może się doprosić u żony, ażeby mu grała jak dawniej, gdy była panną. Wtedy, jakaś poezya teńnęła z każdego tonu wydobytego jej uderzeniem, wtedy mogli długie godziny spędzać razem w wsłuchiowaniu się szeptów Szopenowskich mazurków, ale dziś, gdy to już mąż prosi o muzykę, „pani“ nie ma chęci do grania...

Panna, która czytywała ślicznie poezye i zachwycała deklamacją, teraz, ani myśleć chce o książce... choć mąż prosi o to serdecznie... Jeszcze co? dla kogo? dla męża się trudzić i deklamować, to zabawne, to śmieszne!...

A ta, która umiała tak podziwiać zachód słońca, w purpurach się ztaczającego za łąkę daleką, a ta, co wsłuchiwała się w tęskną pieśń fujarki pastuszej i mówiła, iż w niej dźwięczy skarga ludu, czemuż teraz nie chce wychodzić na przechadzki dalekie?...

— Cha! cha!... z mężem gdzieś tam po miedzach się włóczyć, kiedy można wygodnie drzemać na kanapie...

Tak zawsze mąż zdaje się niczem innym, jak tylko współmieszkańcem, któremu potrzeba dać wikt, „opierunek“, ale więcej nad to nic... Gdzieś, jakieś rozmowy o wielkich rzeczach, jakieś marzenia i plany, jakieś zachwyty nad przyrodą lub książką, to przy gościach dobre, ale nie na codzien, nie w cztery oczy!...

— Cóż będę dalej marzyła, — powiada pewna „pani“, — kiedy rozczarowałam się uprzednio, mąż mój inny jest, jak się przedstawiał.

— Gdzież mi w głowie dziś muzyka, deklamacja lub wzdychania do ideałów, kiedy troszczyć się muszę o chleb, mleko, mięso, a pieniądze wyrachować tak muszę, ażeby do końca miesiąca starczyło...

— Mąż mój dziwak się robi niesłychany, nudny, egzaltowany, sam nie wie, czego chce; szczęśliwam, kiedy go w domu niema.

Tak powiadają „panie“ rozczarowane i rzeczywistością owionięte, raz po raz wyliczają wszystkie wady mężów, zapominając zaś zupełnie o tem, iż mężowie mogli by także w tej sprawie głos zabrać; oni by także mogli opowiedzieć wiele, iż rozczarowali się nie jeden

raz i to rozczarowanie dość piołunu w życie wsączyło.

Mąż nie dlatego zdaje się dziś mniej idealnym i pięknym, iż zmienił się, lecz dlatego, iż „pani“ spogląda na niego tylko, jako na zarabiacza tyłu a tyłu rubli.

A jednak, jakżeby to trzeba oddzielać i odgraniczać zupełnie kwestyę pracy od zarobku męża, bo inaczej się ocenia to, co plonem korzyści społecznej i narodowej spada w ocean społeczeństwa, a inaczej się to wazy, co przynosi grosz potrzebny na codzienne życie.

Żony poetów i literatów, artystów i natchnionych dusz—czyż mogą obliczać dochody miesięczne lub roczne?...

A żony urzędników, ludzi wprzagniętych w jarzmo monotonnej jednostajności, czyż nie rozumieją, ile sił ducha, ile zaparcia się woli, ile ofiary ciężkiej praca taka wymaga?...

Każdą pracę ludzką w ogóle trudno jest bardzo odmierzyć, odważyć i ocenić, tak mężowi nie łatwo zrozumieć, ile żona ma trudu domowego, żonie,—ile mąż ma w swej pracy.

To jednak muszą mieć zawsze żony mężów pracujących na uwadze, iż ludzie ci wymagają wiele wyrozumiałości i uwzględnienia.

Bogaty jakiś paniczyk, próżnujący całe życie, może się bawić w komplementy, adoracye, zachwyty i t. d., ale człowiek spracowany, który jeszcze jako akademik, nie miał chwili wolnej, człowiek taki wraca do domu gorzej zmęczony, jak kosiarsz w upalny dzień, więcej utrudzony, jak palacz, przy jakiejś machinie piekielnie płonącej żarem...

Nie mężowie spracowani są źli, ale złe są te żony, które nie umieją ocenić i uszanować spracowanych ludzi.

Jadwiga z Z. Strokowa.

K O N I E C.



G. FLAUBERT.

## LEGENDA O ŚWIĘTYM JULIANIE GOŚCINNYM.

(„La Légende de St. Julien l'Hospitalier“).

tlóm. M. Pankiewiczówna.



(Ciąg dalszy).

Czasem marzyło mu się, że podobny ojcu Adamowi, siedzi w raj u zwierząt; wyciągając dłoń, zabijał je, lub też, jak w dniu wejścia do arki Noego, defilowały przed nim wszystkie, od słońca i lwa, aż do gronostaja i kaczki, w porządku swej wielkości. Z ciennej pieczary miotał w nie niezawodnym oszczepem; nadchodziły inne—i tak bez końca, aż Julian zrywał się, rzucając w koło straszne spojrzenia.

Przyjazne książęta zapraszały go na polowanie; Julian odmawiał im stale, chcąc niejako tą pokutą odwrócić grożące mu nieszczęście; zdawało mu się, że od uśmiercania zwierząt zawisł los jego rodziców. Tęsknił za ni-

mi bardzo, ale i pożądanie łowów stawało się już nie do zniesienia.

By go rozweselić, sprowadzała żona sztukmistrzów i tancerki.

W otwartej lektyce przechadzała się z nim razem po polach; to znowu spoczywając w łodzi, przyglądali się rybom, pływającym w jasnej, jak niebo, wodzie, lub obsypywała go kwiatami i siadłszy u nóg Juliana, grała mu na trzechstrunnej mandolinie, a kładąc mu na ramiona ręce, pytała:

— Co ci, panie mój drogi?...

Nie odpowiadał nic, lub wybuchał łkaniem. Nareszcie pewnego dnia wyznał jej swe myśli.

Starła się przekonać go i uspokoić rozumem dowodzeniem. Rodzice prawdopodobnie już nie żyli; gdyby nawet miał ich kiedy zobaczyć, to jakież traf i w jakim celu mógłby go doprowadzić do czynu tak straszego? Obawy jego były więc bezpodstawne i mógł śmiało zacząć znowu polować.

Pewnego wieczora byli w sypialni, ona leżała w łożu, Julian zaś klękał do wieczornej modlitwy, gdy wtem usłyszał naszczekiwanie lisa, ciche kroki pod oknem; w ciemnościach ujrzał jakieś widma zwierząt. Pokusa była zbyt silna, Julian zdjął ze ściany kołczan.

Na twarzy żony zdawało się malować zdziwienie.

— Jestem ci posłusznym. O wschodzie słońca będę z powrotem,— rzekł.

Uspokoił ją i wyszedł, zdziwiony nieco zmiennem usposobieniem żony.

W chwilę potem paż dał znać, że dwoje nieznanomych pod nieobecność pana zamku życzy sobie ujrzeć jego władczynię.

Wspierając się na kosturach, weszło dwoje zgarbionych staruszków w zakurzonych płóciennych szatach.

Ośmieleni przez panią, oświadczyli oni, że przynoszą Julianowi wieści od rodziców.

Ona nachyliwszy się, słuchała z ciekawością.

Lecz staruszkowie, porozumiewając się wzrokiem, spytali, czy Julian kocha jeszcze rodziców i czy o nich wspomina?

— O, tak! — odrzekła.

Tu zawołali razem: „A więc to my!“ — i siedli, będąc zmęczeni i zdrożeni.

Młoda kobieta nie była pewna, czy małżonek jej jest w rzeczy samej synem tych dwojga ludzi.

Na dowód prawdziwości słów swoich opisali jej dokładnie poszczególne znaki, jakie miał na ciele.

Wtedy wyskoczyła z łoża, zawołała na służbę i kazała podać wieczerzę.

Choć staruszkowie byli bardzo głodni, nie mogli jeść prawie; widziała, jak drżały im kościste ręce, gdy wyciągali je po kubki.

Zadawali jej tysiączne co do syna pytania; odpowiadała na wszystkie, przemilczawszy jednak ponure myśli Juliana, ich się dotyczące.

Nie mogąc doczekać się powrotu syna, porzucili byli oni swój zamek i przez długie lata, kierując się niewyraźnymi wskazówkami szukali Juliana, błądząc po szerokim świecie. Tak wiele pieniędzy potrzeba było na przeprawy przez rzeki i noclegi w zajazdach, tyle ich pochłonęły podatki lub zabrali źli ludzie, że sakiewki wyczerpały się zupełnie i zmuszeni byli podróżować o zebranych chle-

bie. Cóż jednak to wszystko, jeśli teraz mają uściskać syna! Mienili go szczęśliwym z posiadania tak miłej małżonki i bez ustanku wpatrywali się w nią i okrywali pocałunkami.

Bogate urządzenie komnat dziwiło ich nie mało; starzec, spoglądając w koło, spytał, co znaczą na ścianach herb cesarza Okcytanii.

— Jest on mym ojcem — rzekła.

Zadrzał na wspomnienie przepowiedni cygana, matce zaś na myśl przyszły słowa pustelnika. Bez wątpienia sława syna zorzą była zaledwie chwały niebieskiej. Oboje siedzieli bez słowa w blasku postawionego na stole świecznika.

W młodości musieli być bardzo piękni. Matka miała jeszcze wszystkie włosy i delikatne ich pasma, jak śnieżne sploty spadały jej aż na policzki. Wysoki wzrost i wielka broda czyniły ojca podobnym do świętego posągu w kościele.

Żona Juliana radziła im na syna nie czekać. Ułożyła ich do snu w swem łożu, zamknęła okno, usnęli. Dzień się już zbliżał, ptaszki zaczynały spiewać.

Julian przebył park, nerwowym krokiem szedł przez las, napawając się miękkością murawy i świeżością powietrza.

Cienie słały się po mchu; od czasu do czasu księżyc rzucał białe smugi w przestrzeń między drzewami i Julian stawał, biorąc to za powierzchnię wody; to znowu napotykał, błotniste kałuże, których kolor zlewał się z barwą trawy. Panowało głucho milczenie, nigdzie zaś nie było widać zwierząt, co przed chwilą zaledwie zdawały się błąkać koło pałacu.

Las stawał się gęstszy — ciemność zupełną. Czuć było powiew ciepłego wiatru, pełny rozmarzających woni. Julian zapadał się w kupy zeschniętych liści; na chwilę przystanął, by odetchnąć, oparłszy się o dąb.

Nagle wyskoczyła z za niego jakaś ciemna postać. Jeleń to był, lecz Julian nie zdążył nawet schwycić za łuk; zmartwiło go to, jak prawdziwe nieszczęście.

Wydstawszy się z lasu, ujrzał wilka, zmykającego wzdłuż jakiegoś płotu.

Strzelił doń. Wilk przystanął, odwrócił łeb, popatrzył na Juliana i uciekał dalej, biegnąc ciągle w tej samej odległości; od czasu do czasu zatrzymywał się, a gdy poczuł, że Julian do niego mierzy, uciekał znowu.

Goniąc za nim, przebiegł Julian równinę bez końca, piaszczyste wzgórza, aż nakoniec znalazł się na jakiejś płaszczyźnie, górującej nad rozległą przestrzenią. Pośród zrujnowanych sklepów leżały gdzieniegdzie płaskie kamienie; co kilka kroków stały smutne, pokrzywione, nadgniłe krzyże. Julian potykał się o trupy kości. Twory jakieś poruszały się wśród grobowych cieni, nagle wyskoczyło przestraszone stado ociekających krwią hyen. Stukając pazurami po kamiennych płytach, podeszły do Juliana i obwąchiwały go, szczerząc kły. Wyciągnął miecz, hyeny rozproszyły się i kulejąc, skryły się szybko w oddali, pozostawiając za sobą tumany kurzu.

W jaką godzinę potem napotkał Julian w wąwozie rozwścieczonego byka, który nastawiwszy rogi, grzebał kopytem w piasku.

Julian wbił mu lancę w podgardle, lecz broń pękła, jak gdyby zwierzę było z brązu. Julian przyknał oczy, oczekując śmierci, gdy je otworzył, byka już nie było.

Tu duch Juliana ugiął się pod brzemieniem wstydu: wyższa moc jakaś obracała w niwecz jego siłę! Powrócił do lasu, kierując się ku domowi.

Bór podszyty był pnączami, które musiał szablą rozcinać. Wtem kuna prześliznęła się pomiędzy nogami Juliana, pantera skoczyła mu nad głowę, waż owinął się koło wiąz.

Wśród liści, z oczyma utkwionymi w Juliana, siedziała potworna kawka; to tu, to tam zauważył wśród gałęzi wielkie iskry, jak gdyby z nieba kapiące na las gwiazdy. Były to ślepiec zwierząt: dzikich kotów, wiewiórek, puhaczy, papug i małp.

Julian strzelał do nich z łuku, lecz strzały, obcinając trochę pierza, więzły wśród liści, jak białe motyle. Rzucił kamieniami, ale te spadały na ziemię, nie dosięgając celu. Zaczął kłać, byłby bił chętnie, dusił się wprost ze wściekłości.

A wszyscy prześladowcy Juliana skupili się w około niego i otoczyli go zwartym kołem. Jedne zwierzęta posiadały na zadach, inne stały. On znajdował się w pośrodku, zdrętwiał z przerażenia i nie będąc w stanie zrobić jednego ruchu. Najwyższym wysiłkiem woli postąpił krok naprzód. Wtedy siedzące na drzewach rozwinęły skrzydła, te, co były na ziemi, wstały, i wszystko posunęło się w ślad za Julianem.

Hyeny prowadziły pochód, a jeleń i wilk zamykali go; z prawej strony maszerował, kiwając łbem, byk, z lewej przewijał się w trawie waż, podczas gdy pantera, wyginając grzbiet, cichymi a wielkimi krokami im towarzyszyła. Julian, by ich nie drażnić, szedł, jak mógł najwolniej, i widział, jak z głębi zarośli wychodziły jeżozwierze, żmije, szakale i niedźwiedzie.

Zaczął biedz — one za nim. Waż syczał, smrodliwym zwierzom piana lała się z paszcz. Jeleń szturchał Juliana rogami w pięty, wilk dotykał mu ręki kosmatą mordą, małpy szczypały go, wykrzywiając się okropnie, kuna płała mu się pod nogami, niedźwiedź uderzeniem łapy strącił mu kapelusz, pantera upuściła z pogardą na ziemię strzałę, która jej tkwiła u paszczy.

W ich pełnem ponurej skrytości obejściu czuć było drwiny. Nie spuszczać z Juliana badawczych spojrzeń, zdawały się rozmyślać nad sposobami zemsty. Julian, ogłuszony brzęczeniem owadów, bity ptasiemi ogonami, dusząc się wśród zwierzęcych oddechów, szedł jak ślepiec z wyciągniętymi przed siebie rękoma i zamkniętymi oczyma, nie mając nawet tyle siły, by zawołać: „Łaski!“

Pianie kura przebiło powietrze, inne mu odpowiedziały. Dzień się zbliżał, z za drzew pomarańczowych widać było dachy pałacu.

Wtem zobaczył Julian na brzegu pola o trzy kroki przed sobą stado czerwonych kuropatw, furkające po ściernisku. Odpiął płaszcz i zarzucił go na nie, jak sieć. Gdy go odsłonił, znalazł jedną tylko kuropatwę, oddawna zdechłą i już nadpsuta.

Ten zawód rozdrażnił go więcej, niż wszystkie poprzednie. Żądza krwi zagrała w nim

na nowo. W braku zwierząt, byłby mordował ludzi.

Przebył trzy tarasy; uderzeniem pięści rozbil drzwi, lecz u progu wschodów wspomnienie drogiej małżonki ocuciło go na chwilę. Spi pewnie — zbudzi ją.

Zdjął sandały i cicho, uchylwszy drzwi, wszedł do sypialni.

Witraże w olwianych ramach przyćmiewały jeszcze blade światło poranku. Julianowi zaplątały się nogi w rozrzucone po podłodze szaty. Nieco dalej potrącił o stół, na którym stały jeszcze naczynia. Wieczerzała widocznie — pomyślał, i szedł ku łożu, za ledwie dostrzegalnemu w ciemności, okrywającej głąb komnaty. Doszedłszy doń, schylił się, by pocałować żonę i ujrzał nagle dwie głowy, spoczywające obok siebie. Na ustach poczuł dotknięcie brody.

Odskoczył — zdało mu się, że oszalał. Lecz wrócił do łoża, i macając rękoma, natrafił na sploty długich włosów. By wyprowadzić się z błędu, przesunął zwolna ręką po poduszce. Tak, to napewno była broda. To mężczyzna jakiś spał razem z jego żoną.

W napadzie szalonego gniewu rzucił się na nich ze sztyletem. Drepcąc na miejscu pieścił się ze wściekłości i ryczał podobnie dziękmu zwierzęciu. Nagle uspokoił się. Ofiary ugodzone w serca nie drgały nawet. Z uwagą przysłuchiwał się śmiertelnemu ich rzęzeniu; w miarę, jak ono ucichało, w oddaleniu inny głos jakiś zdawał się je przedłużać. Nie pewny z początku, jęk ten przeciągły a żalony, zbliżał się, podnosił, stawał coraz okrutniejszym, aż w końcu poznał w nim przerażony Julian ryk wielkiego czarnego jelenia.

Odwrocił się: zdało mu się, że w drzwiach sypialni widzi widmo żony z pochodnią w ręku.

Przybiegła ona na zgilek morderstwa; jedno spojrzenie objaśniło ją o wszystkim; upuszczając z przerażenia pochodnię, uciekła.

Julian podniósł ją.

Z szerokimi ranami w piersiach leżeli przed nim rodzice. Oblicza ich, pełne majestatycznej powagi, zdawały się kryć w sobie wieczną tajemnicę. Białe ich ciała, pościel, podłoga, nawet zawieszony w alkwie Chrystus z kości słoniowej, — wszystko obryzgane było krwią. Szkarłatny odbłask prześwieconego słońcem witrażu podnosił jeszcze krwistość plam i rzucał czerwone odbłaski po całej komnacie. Julian podszedł do trupów, wmaiwając w siebie, że to rzecz niemożliwa, chcąc uwierzyć w jakieś niewytlómaczone podobieństwo, czy też pomyłkę. Niestety, gdy schyliwszy się nieco, przyjrzał się zblizka starcowi, między niedomkniętymi powiekami zobaczył martwe źrenice, których spojrzenie sparzyło go, jak ogień. Przeszedł do drugiej połowy łoża, zajętej przez inne ciało, któremu długie włosy zasłaniały pół twarzy. Włożył palce pod ich zwoje, podniósł do góry głowę zmarłej i podtrzymując ją zeszywniałym ramieniem, przyswiecał sobie pochodnią. Krople krwi, ściekające z posłania, kapały na ziemię.

Pod wieczór zjawił się Julian u żony i przedewszystkiem zmienionym ze wzruszenia głosem przykazał jej nie mu nie odpowiadać, nie zbliżać się, nie patrzeć nawet na niego. Potem pod grozą wiecznego potępienia rozkazał

jej spełnić nieodwołalnie wszystkie swe zlecenia.

Pogrzeb ma się odbyć ściśle podług piśmiennych wskazówek, jakie pozostawia na klęczniku w komnacie zbrodni. Pałac, wasali, całe swe mienie oddaje żonie, nie zatrzymując dla siebie zgoła nic, nawet szat, nawet sandałów, które był pozostawił na schodach.

Stosownie do woli nieba posłużyła małżonka za narzędzie zbrodni; teraz pozostawały jej jedynie modlitwy za duszę męża, on już dla niej nie istniał.

Zmarłych pochowano z wielką pompą w klasztornym kościele, odległym od zamku o trzy dni drogi. Mnich ze spuszczonego kapturem szedł za orszakiem zdale od wszystkich, a nikt nie ośmielał się doń przemówić.

Z czołem w prochu, z rozpostartymi ramiarami przeleżał on krzyżem u progu kościoła przez cały czas nabożeństwa.

Widziano, jak po skończonym pogrzebie odszedł drogą, wiodącą ku góróm. Obejrzał się kilkakrotnie, aż nakoniec znikł zupełnie z przed oczu patrzących.

(Dokończenie nastąpi).



## HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

Z pięciu córek margrabiny trzy wstąpiło do zakonu, czwarta wcześniej wyszła za męża, a piąta, Julia, dziedziczka pałacu i jego tradycyi, uwielbiana królowa całego otoczenia, świetniała u boku wspaniałej matki nadzwyczajnym wdziękiem i tą kwintessencją wytworności, która już zaczynała wpadać w prerafinowanie. Panie odznaczające się największym wysubtylizowaniem otrzymywały w błękitnym salonie zaszczytny tytuł „wykwintnisi“ (*precieuse*). Wyróżniały się one tem wszystkim, co zostało wówczas uznanem za najdotadniejsze cechy kobiecości, czyli były ciepłarnianami kwiatami o sztucznych barwach i wytwornej woni, — skończonym typem salonowej damy. Po za salonem taka dama czuła się, jak ryba z wody wyjęta. Wszystko, co nie było ozdobnie konwencyonalną stroną życia, znajdowała pospolitem i trywialnem, stała na swojej olimpijskiej estradzie po nad wszelką realnością bytowa, której szorstkie dotknięcie przyprawiało ją o mdłości, spazmy i wapory. Bo słabość fizyczna stanowiła też jedną z wymaganych cech owej pseudo-kobiecości. Salonna dama nie mogła być krzepką, hożą i wytrzymałą, przeciwnie; musiała mieć niezmiernie drażliwe nerwy, wiotkie mięśnie i wogóle delikatny organizm, aby mózg ciągle uwydatniał tę lub ową słabość niewieścią, która z takim wdziękiem poddaje się kierownictwu męskiej siły.

To samo co do umysłu kobiecego; musiał on mieć wdzięk i wrażliwość, ale broń Boże

powagę i siłę, bo ta należała wyłącznie do umysłu męskiego, na którego autorytecie intelektualność niewieścia wspierała się z tą samą miękką gracyą, z jaką wiotka markiza omdlewała na mocnem ramieniu wicehrabiego.

To też poważniejsza nauka coraz bardziej była rugowana z edukacji panińskiej, coraz wyłącznie zapanowywało zdobnictwo umysłowe: uprawianie talencików, upiększanie pamięci, obznajamianie ze wszystkim po łebkach, a z niczem na seryo — i coraz bojaźliwiej chowała się przed krytyką ogólną gruntowniejsza wiedza, jeżeli ze szczerzego upodobania przyswoiła ją sobie jaka główka kobieca.

Nie będziemy się dłużej rozwodzili nad tym typem, bo on jeszcze taki znany, jeszcze tyle widzimy kobiet pochodzących od niego w prostej linii, i z tak niewielkimi w stosunku do zmian czasu i warunków modyfikacyami. Wszak spotykamy tylokrotnie — zwłaszcza wśród przedstawicielek przedostatniej generacyi — owe panie ślicznie wychowane, które mają taki ładny akcent, a tak źle umieją arytmetykę, które tak gładko mówią o nowościach belletrystyki, a tak tępo pojmują socyologię, które frazesują o psychologii uczucia, a za nicby nie pomówiły o przyrodoznawstwie albo ekonomii, obawiając się nie wykazania nieuctwa, lecz zarzutu uczoności. Wszak znane są nam i te okazy, które popisują się z rzeczą tak smutną, jak rozstrój nerwowy, i tak wstydliwą, jak niedołężność mięśniowa, które wstrząsają się i drgają na byle stuknięcie lub kichnięcie, stają bezradnie przed kładką lub płótem, drżą wobec pustki lub ciemności, uciekają od żaby lub myszy, i chlubiąc się a paradując wszystkimi niemocami dobrowolnego niedołężstwa, zawsze i wszędzie potrzebują prowadzenia, podszadzania, okrywania, różnorodnej podpory, obrony i opieki — rozumie się męskiej.

A cała ta powabna słabość niewieścia pochodzi nie tyle ze starego korzenia złych przyzwyczajzeń, ile z tradycyjnego wmówienia, że tak jest bardzo ładnie, i że to się najbardziej mężczyznom podoba. Nie dowiadają te panie, co przecież bije już w oczy, że ów typ kobiecy codziennie bardziej staje się przeżytkiem, że mężczyźni zaczyna się przykrzyć to nianczenie, i że najświeższy model dzielnej dziewczyny, rozwiniętej rozumowo, wygimnastykowanej fizycznie, samodzielnej życiowo, wcale na powabie nie traci, i wcale kolegów swych z najnowszego pokolenia nie odstręcza.

Wszystkie powyższe cechy, do dziś kobiecością zwane, są dziedzictwem XVII-go wieku — nie dawniejszem — pomimo pospolitego mniemania, jakoby one stanowiły prawdziwe *ewig Weibliche*, sięgające początków cywilizowanego społeczeństwa i stanowiące stałą właściwość europejskiej kobiety. Wszakże przez całe tysiąclecie Średniowiecza typ ów nie istniał wcale. Średniowieczna kobieta była krzepka i zręczna, prosta i szczerą, zaradna i odważna, a opieki męskiej szukała nie dla kometowania słabością — co wówczas nie popłacało — lecz w rzeczywistym niebezpieczeństwie, w obec przemocy przewyższającej jej siłę.

I umysłowa strona typu tembardziej nie wówczas wzięła swój początek, ani nawet

w dobie Humanizmu, gdyż w tej kobiety dzieliły się na całkiem nieoświecone, lub wykształcone gruntownie; epoka Odrodzenia traktowała kulturę seryo, i nie robiła z niej taniej pozłoty powierzchownego poloru. Całkowicie więc i jedynie do wytworów XVII-go wieku należy ta ewolucyjna faza kobiecości, która pomimo tak wybitnie ujemnych stron swoich, posiadała jednak tyle rzeczywistego uroku, że dodatnie cechy typu kobiety salo- nowej pozostaną zawsze wdzięczną i pożądaną towarzyską ozdobą płci niewieściej.

W pałacu Rambouillet długo świeciła uroczą panna Julia, która aż do lat trzydziestu kilku za mąż wyjść się nie decydowała, i przez całe lat dwadzieścia była środkowym punktem czułych westchnień dworskich panów i przedmiotem natchnień modnych poetów.

Obok niej, jak cień przy promieniu, odznaczała się wyrazistą brzydota i ekscentryczną powierzchownością rówieśnica jej i przyjaciółka domu, Magdalena de Scudéry, która miała piękną duszę, cięty dowcip, znaczną erudycję i wszystko to wkładała w powieści historyczne niezmiernie długie, nieprawdopodobne, sentymentalne, według dzisiejszych pojęć literackich nudne, a według ówczesnych zajmujące i bardzo swego czasu popularne. Może dzięki brzydocie autorki przebaczano jej niekobiecą uczoność i nazywano ją nawet nowożytną Safoną. Panna Magdalena przeżyła lat dziewięćdziesiąt w nieposzlakowanym panieństwie; praktykując w życiu takie właśnie uczucia, jakich wzór w powieściach swych przedstawiała — czysto idealne i na chłodno egzaltowane: uczony Péllisson przez całe pół wieku żył z nią w duchowej spójni platonicznego affektu, dnia jednego przebyć nie mogli, nie widząc się lub nie pisząc do siebie, pomimo tego ani się z sobą pobrali, ani nawet świat nie rzucił cienia na czyste przywiązanie dwojga szlachetnych oryginałów.

Uroczą Julia omal że nie poszła za tym przykładem, bo przez lat kilkanaście pozwałała się wielbić księciu de Montausier, ze wszech względów na wzajemność zasługującemu, i dopiero po tak długiej próbie wierności uszczęśliwiła go swą ręką.

Nie były to wyjątkowe wypadki traktowania w ten sposób kwestyi miłości; owszem, były to wzory, za którymi w większym lub mniejszym stopniu szły inne wykwintnie. Nieprzystępne dla szarów namiętności, ponieważ były skromnymi i cnotliwymi, a probowały wprawdzie uczucia normalne i godziwe, ale tylko w formie nastrojonej na wysoki ton ich egzaltacyi. Zwykła, naturalna miłość i następstwo jej — małżeństwo, wydawały im się formą zbyt prostą i pospolitą, trącą trywialnością; więc chociaż zwykle wychodziły chętnie za mąż i były dobrymi żonami, ale nim doszło do tak pospolitego rezultatu, trzeba było spłacić dług sztuczному idealizmowi, i kochająca się para musiała odbyć wszystkie ceregiele modnego sentymentalizmu. On musiał tęsknić, schnąć i wzdychać, choćby miał wszelkie szanse powodzenia i żadnego realnego powodu do desperacyi, musiał wyrzekać na okrutną, błagać o litość, omdlewać ze szczęścia za kwiatek lub promień włosów, wic się w boleściach dla chło-

dniejszego spojrzenia, — wszystko to niekoniecznie dla sensu, ale koniecznie dla rymu, a już jeśli proza, to przynajmniej w najwyszukańszych zwrotach. Ona zaś musiała być zarazem surową i tkliwą, nieprzystępną i pełną słodyczy, musiała to zaufaniem go darzyć, to wystawiać na próby, to jak jeńca wojennego traktować, to cieszyć nadzieją tryumfu, a cała ta ekwilibrystyka trzymana była w stylu przewytwornie wyrafinowanym.

I nie tylko konkurenci i wielbiciele starający się na seryo musieli mieć podobne obojętne i wysłowienie; stało się ono wprost obowiązkiem we wszystkich stosunkach pomiędzy dwoma płciami. Każda kobieta z „towarzystwa“ młoda i przystojna, lub tylko objawiająca nieuzasadnione choćby do tego pretensye, była przedmiotem hołdów każdego mężczyzny, dbałego o reputację dworskości. A ta konieczna uprzejmość dla płci pięknej, wyrażaną była tak gorąco i czule, że dziś każdy niemal ówczesny komplement kawalerski, który był zwyczajną zdawkową monetą grzeczności, stanowiłby prawie zobowiązanie; jeśli zaś dama była przedmiotem przelotnego upodobania kawalera, wtedy każdy z jego górnołotnych duserów, w rzeczy niczego na seryo nie dowodzący, wyglądał jak formalne oświadczenie. Taki przygodny i zmienny adorator przy każdej sposobności jawnie i publicznie affekcyje swoje damie manifestował, urzędownie tytułował ją swoją *flamme'ą*, swoim *idol'em*, swoją okrutną tyranką, a to nieraz wobec jej męża albo swojej żony, którzy przyłączali się do chóru zachwytów nad odnośnym sonetem lub madrygałem. Stosunek przyjaźni, zażyłości, często nawet interesu, wszystko, co zbliżało mężczyznę z kobietą, musiało mieć taki podkład z zimnych płomieni i chyba tylko miłość prawdziwa a ukrywana uchylała się od tego regulaminu, aby przy grze w galanterię nie zdradzić rzeczywistego stosunku.

Pomnikowym dokumentem tego konwenyonalnego sentymentalizmu stała się słynna mapa „królestwa Czułości“ (*royaume du Tendre*) z romansu panny Scudéry p. t. „Klelia.“ Przerznięty, jak Egipt Nilem, rzeką „Inklinacyą,“ kraj ten ma mosty „Słodkich spojrzeń“ i „Tkliwych wierszy,“ wioski „Bileciki“ i „Nadskakiwania,“ miasta „Czułość nad szacunkiem,“ „Czułość nad przyjaźnią“ i t. p.

(Ciąg dalszy nastąpi).



## Kwestya kobieca w Japonii.



Minęły już czasy, gdy kobieta japońska żyła, jak niewolnica w zaciszu i ukryciu domowym, gdy kształcenie kobiet ograniczało się do wyrobienia w nich poczuć estetycznych, nie wyprowadzając ich z ciasnych ram muzyki, śpiewu, literatury i poezyi, pielęgnowania kwiatów i zdobywania pięknych manier.

Troska o zalety zewnętrzne przestała być jedyną i wyłącznie wśród przedstawicieli krainy Jutrzenki; dziś coraz częściej wy-

stępują one samodzielnie na arenie życia społecznego i nie bez powodzenia walczą na niej o lepsze z mężczyznami.

Przed zaczęciem i po skończeniu zajęć szkolnych ulice japońskie napelniają się wesołymi gruppami uczennic; łatwo je poznać po książkach, zawiniętych w chusteczkę i po ciemno - brązowej narzutce, związanej na wstążki. Te narzutki są naleciałością z Zachodu, równie jak skórzane pół-buciki, mitynki i warkocz, spuszczone na plecy. Dziewczynki japońskie nie zwykły nosić kapeluszków, natomiast rzadko która nie razi oka parasolką formy europejskiej, daleko brzydszą od papierowych parasolów japońskich.

I jakże wyrasta owe młode, wesołe pokolenie? Jakie dziedziny pracy otwierają się przed tą połową uczącej się młodzieży japońskiej?

Zanim na to pytanie odpowiem, chcę w kilku słowach skreślić ogólne położenie kobiet w Japonii.

Do niedawna tak zwana „kwestya kobieca“ była tu zgoła nieznaną. Jedynym przeznaczeniem kobiety było wyjść, a raczej być wydaną za mąż. Uważano ją za istotę niższego rzędu, stworzoną po to tylko, by służyć mężowi.

Moralista japoński, Kaibara, pisze, że starożytni Japończycy zwykli byli kłaść nowonarodzone dziewczęta na ziemi i trzymać je tak przez trzy doby. Miało to oznaczać, że kobieta z natury swojej tak jest nizkiem stworzeniem, że jej miejsce przy samej ziemi.

Tenże sam mędrzec dając życiowe rady i przepisy kobiecie japońskiej, każe jej nade wszystko myśleć o szczęściu i wygodzie swego pana i władcy; być łagodną, cierpliwą, nie chęłpić się cnotami i znosić jarzmo domowe z uśmiechem rozkoszy. Kaibara nakłada na nią potrójny obowiązek posłannictwa: W dzieciństwie ma słuchać ojca, w życiu małżeńskim męża, we wdowieństwie najstarszego ze swych synów.

Ten mędrzec, należący do wyznawców Konfucjusza, żył w w. XVIII-ym; jego nauki pozostawiły dotychczas ślady w obyczajach narodu japońskiego. To też gdy „wielki filozof z Mika,“ Fukuzawa, reorganizator umysłowego życia Japończyków, w r. 1899-ym wydał przepisy, na wzór Kaibary, lecz owiane innym zgoła duchem, dążące do wzbudzenia w krainie japońskiej poczucia własnej godności i potrzeby samodzielności, to dzieło jego zostało przyjęte bardzo chłodno, znajdując odgłos jedynie wśród zwolenników emancypacyi kobiecej.

Pomimo pozornej niewoli, a dzięki urodzie i przymiotom duszy, Japonki miały jednak zawsze duży wpływ na Japończyków. Nieznaczna rola, przyznawana kobiecie japońskiej w teorii, w praktyce jest donioślejszą.

Taka sprzeczność zdarza się zresztą i w innych krajach Azji, (nie mówiąc o tem, że trafia się w Europie). Nigdzie chyba kobiety nie mają mniejszych praw, jak w Korei, a jednak panują tam wszechwładnie w domach i wśród rodziny.

W Japonii mnóstwo kobiet umiało wywalczyć sobie stanowisko, niejedna wślawiła się nawet w życie politycznym. Cesarzowa Dzingo przedsięwzięła ów legendarny pochód do



Korei, na którego zwyciężkich rezultatach Japonia opiera dziś swoje pretensje do tego kraju.

Nawet w czasach, gdy Kaibara kreslił przepisy „dobrego tonu“ dla Japonek, jego rady i sentencje zwracały się głównie do kobiet wyższych sfer społecznych. I wtedy już wśród włóścian, robotników i rzemieślników, żony pracowały narówni z mężami i cieszyły się jednakowymi prawami.

Dziś wielu Japończyków przyjęło obyczaj europejski, a z nim poszanowanie kobiet i pewną wobec nich galanterię. Zachowanie się wobec nich warunkowane jest sferą społeczną, a jeszcze bardziej noszonym strojem. Ubrany po europejsku Japończyk daje pierwszeństwo kobiecie, przybrany w narodowy „kimono“, uważa się za „pana świata.“

W przepelnionych zawsze wagonach tramwajów elektrycznych w Tokio, wielu mężczyzn ustępuje miejsca damom. Jeżeli wchodzi one z dziećmi, to mogą być pewne uprzejmości ze strony wszystkich obecnych mężczyzn, gdyż ukochanie dzieci jest ogólnem w krainie Jutrzenki. Uprzejmość japońskiego kawalera nigdy jednak nie dochodzi do tego stopnia, aby go skłaniała do noszenia paczek i sprawunków damy.

Japonki nie uczęszczają na zebrania towarzyskie, na sessje różnych komitetów, na uroczystości szkolne, oraz na koncerty! Bywają w teatrze dotychczas uważane jest za niewłaściwe.

Najwybitniejszymi wśród istniejących stowarzyszeń kobiecych są: patriotyczny związek kobiet, o celach przeważnie filantropijnych, klub żon marynarzy i Towarzystwo Czerwonego krzyża. Wszystkie trzy stowarzyszenia liczą bardzo dużo członkiń wśród najwyższych warstw towarzyskich. Na posiedzeniach bywa nieraz cesarzowa.

Nauka jest obowiązkiem w Japonii dla płci obojga. Oprócz szkół narodowych dla dziewcząt, istnieje w państwie 79 szkół „wyższych“, w których wykładana jest higiena, roboty ręczne, teoria gospodarstwa domowego, poparta praktyką i t. p. Program, jak widzimy, niezbyt rozległy i nie dający prawa do szumnego tytułu „Uniwersytetu“, ale zastosowany do potrzeb kraju. „Akademia muzyczna“ nosi także zbyt szumną nazwę, jest to zwykła szkoła, kształcąca na nauczycielki; nie wydała ona dotychczas artystek, oprócz znanych siostrzyczek Kada.

Do Związku patriotycznego i Klubu żon marynarzy wchodzi przeważnie kobiety dojrzałe. Młode dziewczyny poświęcają swą działalność Czerwonemu Krzyżowi. Między siostrami tej pożytecznej instytucji znajduje się wiele panien z pierwszorzędnym rodzin. Córki cesarza organizują pomoc lekarską.

Nauczycielki, zwłaszcza szkół wyższych, cieszą się ogólnym szacunkiem, również jak i Siostry Miłosierdzia.

Koleje i zarządy pocztowe otworzyły już oddawna swe biura dla pracy kobiet, są one również dopuszczane do obsługi telefonów, biorą udział w drukowaniu marek i kart korespondencyjnych. Liczba robotnic we wszelakich fabrykach i warsztatach jest bardzo znaczna. Na tem polu Japonia nie ustępuje Ameryce, ani Europie zachodniej.

Rozszerzony zakres pracy rozwinął w Japonkach poczucie niezależności i ducha inicjatywy. Nie zdołały się one jednak ustrzedz od palącej rany — prostytutcy. Wędrownie czicielki Wenery trafiają się rzadziej, niż u nas, panują jednak w specjalnych zakładach.

Widzimy zatem, że wykształcenie wyższe mniej jest rozpowszechnione wśród Japonek, niż wśród kobiet zachodnio-europejskich, natomiast wykształcenie średnie i niższe prowadzone jest bardzo starannie i obejmuje szerokie warstwy. Dzięki temu właśnie kobiety mają wpływ na mężczyzn i mogą wychowywać ich na dzielnych obywateli kraju.



## Nowy typ szkoły żeńskiej w Galicji.



Lwów, w Lipcu.

Silnie rozbudzony ruch umysłowy wśród kobiet sprawił, że od szeregu lat już przestały wystarczać tradycyjne „pensje.“ Istnieją one i dzisiaj, ale są tylko środkiem pomocniczym, dopomagają w pracy wychowawczej i naukowej, wypuściły jednakże kierownictwo ze swej ręki.

Kierownictwo to przeszło na zakłady naukowe, organizacją i celami zgodne z ustrojem szkół publicznych, a przynajmniej bardzo do niego zbliżone.

Mamy więc szkoły początkowe (odpowiadające szkołom ludowym publicznym), mamy szkoły wydziałowe, licea i gimnazya — wszystkie w prywatnym pozostające zarządzie, jednakże pod kontrolą rządową, dzięki czemu niektóre z nich mają t. zw. prawo publiczności, t. j. prawo wydawania świadectw, czyli patentów, na równi skutecznych ze świadectwami szkół publicznych.

Na szczególną uwagę zasługują licea kobiece. Wedle intencji ministerium mają one być czemś pośrednim pomiędzy szkołą Wydziałową a średnią z jednej strony, z drugiej zaś pomiędzy gimnazjum a szkołą realną. Dają więc one wyższe wykształcenie, niżli szkoła wydziałowa, a praktyczniejsze, niż gimnazya żeńskie, które u nas otwiera na ścieżkę wrota wiedzy, lecz nie uprawnia do wydobycia ztąd żadnych korzyści pożytecznych.

W programie liceów niema miejsca dla filozofii klasycznej, a nauka fizyki i matematyki traktowane są zwięźle, niż w szkole realnej; za to wielki nacisk kładzie się na języki nowożytne (niemiecki i francuzki), jako też na studia historyczne i estetyczne.

Podobnie jak w gimnazjum i szkołach realnych jest uwieńczeniem studiów licealnych świadectwo dojrzałości na podstawie egzaminu maturalnego. Uprawnia ono do słuchania wykładów uniwersyteckich, do złożenia egzaminu nauczycielskiego dla liceów i innych zakładów naukowych po odbyciu tych studiów, między innymi zaś także do studiów farmaceutycznych, które otwierają kobiecie u nas jedno nowe pole pracy.

Ten typ szkoły jest u nas nowością, od lat kilku dopiero wprowadzoną, i to nowością

bardzo popularną. Powstało liceów może aż za wiele. W gruncie wszakże, z wyjątkiem jednego, nie są to licea, przybrały jeno taką nazwę, w ustroju swym poprowadziwszy dowolny plan naukowy. Ponieważ zaś prawnym wymaganiom nie czynią zadosyć, są przez rząd tylko tolerowane, nie zapewniają wszakże uczniom swym żadnej z tych korzyści, jakie liceum dawać powinno.

Jest w całym kraju jeden tylko zakład, oparty ściśle na zasadach określonych przez ministerium i dlatego też on jeden tylko posiada wszystkie prerogatywy publicznych zakładów tego rodzaju. Mowa tu o wzorowym istotnie pod każdym względem liceum p. W. Niedziałkowskiej, znanej nie tylko u nas od lat wielu pracowniczki na polu pedagogii. Zakład ten cieszy się zasłużonym uznaniem nie tylko publiczności, lecz także władzy szkolnej, która nad nim wykonywa nadzór, a której reprezentanci niejednokrotnie znaleźli sposobność stawić go za wzór podobnym instytucjom. Stało się to świeżo przy sposobności rozdania świadectw pierwszym abiturientkom z maturą licealną (w tym bowiem dopiero roku zaokrągliło się liceum najwyższą klasą, szóstą, po przebyciu której wolno zasiąść do egzaminu dojrzałości).

Krajowi inspektorowie szkolni Majchrowicz i Baranowski nie mieli dość słów uznania. Bo też abiturientki składały świetne naprawdę dowody nie tylko nagromadzenia pewnego zasobu wiedzy, lecz pełnej w całym tego słowa znaczeniu dojrzałości umysłowej. Wszystkie abiturientki, jak ich było 24, otrzymały patent dojrzałości, 18 zaś z nich uzyskało ponadto chlubne odznaczenie. Pierwszy to wypadek takiej klasyfikacji w dziejach naszego szkolnictwa, a ferowali ją profesorowie pod przewodnictwem c. k. inspektora szkolnego, o zbytnej więc jakiejś pobłażliwości nie mogło być mowy.

Jeżeli zaś dodamy jeszcze, że kształcąca umysł, nie pomija liceum także kształcenia serca, że uczennice opuszczają je z pełną świadomością zadań swych społecznych i naukowych, — to chyba nikomu ten tego sprawozdania nie wyda się za gorącym.

St. R.



## Z listów do „Bluszczu.“



Paryż, Czerwiec—Lipiec.

W odświętne szaty przybrał się Paryż: wypiękniał, odmłodził w zieleni wiosennej, ożywił się nowem życiem i czekał wielkich dni.

A wielkimi dniami były: przyjazd króla hiszpańskiego i wielki tydzień, ów sportowy tydzień du Grand Prix, tydzień wielkiego steeple'u w Auteuil, tydzień wielkich przyjęć i próbnych biegów samochodów o puchar Gordona-Bennetta.

W takie dni Paryż, naturalnie ten Paryż, który bywa i bawi się, odmienną przybiera postać: jakaś gorączka trawi ludzi, żyje się dwa razy prędej, nikt niema czasu, bo tu co rano kuryer przynosi stosy listów, zaproszeń na bale, herbaty, przyjęcia, na klubowe zabawy i leje się to bez końca, zaledwie zostawiając chwilę czasu na przebieganie się.

Pracowity to czas dla tych, którzy nic nie

robią, a w owe dni pracują naprawdę w po-  
cie czoła.

Tylko czas był nie tegi: pogoda nie przy-  
jęła zaproszenia i deszcz ulewny bruździł nam  
okrutnie.

Ale zaczynam po kolei me sprawozdanie, na-  
turalnie, — „à tout seigneur tout honneur,“ —  
od przyjazdu króla Alfonsa XIII-go.

Młodzieńcy król okazał się przede wszystkim  
nadzwyczajnie subtelnym dyplomata, niezmiernie  
uprzejmym i miłym, umiejącym zachowa-  
wać najwięcej wyrafinowane odcienia, „do-  
brym chłopcem“ z tem wszystkiem, w któ-  
rym częstokroć młodość brała górę i wybu-  
chała promiennie, wiosennie.

Miasto przybrało się na powitanie sąsiada  
z za Pireneyów przepysznie: ulica Royale  
stała się wielką kopułą świetlistą, jarzącą od  
światał, wśród których barwnie promieniał  
herb Hiszpanii, ten herb, w sercu swem trzy  
lilie burbońskie noszący.

I trochę do swego miasta zjechał ten król  
hiszpański.

Praprawnuk Ludwika XIV-go nie bez wzru-  
szenia stanął w środku wielkiego salonu  
w Wersalu, z którego król-słońce wyprawia-  
jąc księcia d'Anjou, wyrzekł pamiętne słowa:  
„Jedź, mój synu, Pireneyów już niema!“

Nie będę opisywał tych wszystkich mniej  
więcej jednakich zawsze przyjęć: rewii woj-  
skowych, oficjalnych spacerów po ważniej-  
szych muzeach i osobliwościach Paryża, za-  
znaczą natomiast pełną wdzięku, idylliczną  
trochę scenę, jeden z najładniejszych epizo-  
dów pobytu króla hiszpańskiego w Paryżu.

Rozegrała się ta scena w... Hallach, w o-  
wem olbrzymim targowisku paryzkim, „brzu-  
chu Paryża,“ jak je nazwał Zola.

Wjazd do Hall był nad wyraz oryginalnie  
przybrany: nad głowami kołysały się girlandy  
kwiatów, a od strony bulwaru Sebasto-  
polskiego pod dwoma obeliskami stały świe-  
tnie, choć groteskowo odtworzone gipsowe  
grupy przekupniów, ofiarujących swe prze-  
różne produkty.

W około tych emblematów Hall stanęli  
szpalerem tragarze, owi olbrzymi w kolosal-  
nie wielkich kapeluszach filcowych, stano-  
wiący istną straż honorową wielkoludów, du-  
my Hall — *les forts de la Halle*.

Na około nich gęsty tłum przekupek, sta-  
rych, młodych, tych „dam Halli“ słynnych  
od wieków, od tragicznych wędrówek na po-  
koje Maryi-Antoniny, aż do operetkowej pa-  
ni Angôt.

A między niemi drżąca, zapłoniona to bla-  
da, stoi w bieli młoda dziewczyna — Muza  
Hall, wybrana losem wśród kilku kandyda-  
tek na ofiarowanie młodemu królowi wieńca  
i rymowanego pozdrowienia od „dam Hall.“  
— Jedzie, jedzie!...

Ruch robi się nagle: olbrzymy prostują i wy-  
prężają bohaterskie piersi, poprawiają skrzy-  
dlate kapelusze, wszyscy wspinają się na pal-  
ce, okna, balkony, dachy, latarnie pełne lu-  
dzi. Z drabin zwieszają się postacie ludzkie,  
jak grona; zbita, różnobarwna masa, jak  
mrówcze gniazdo drga setkami tonów, świe-  
cą twarzami.

A Muza błędnie, opiera się o ramię swej  
damy honorowej.

Zajeżdżają powozy: galony, złoto, dekora-  
cje, mundury, cały świat oficjalny Francji.  
Muza podchodzi.

Ze zdławionego wzruszeniem gardła wydo-  
bywa jedno słowo:

— Majesté!...

Podaje kwiaty, siania się prawie.

Król uśmiechnięty patrzy z widoczną przy-  
jemnością na ładną dziewczynę, daje znak  
i adjutant podaje mu pudełko. Król wyjm-  
uje złotą bransoletkę, wkłada ją na lewą rękę  
dziewczyny, dziękuje jej w paru słowach za  
bukiet i życzenia, i... nagle unosząc się, obej-  
muje ją w pół i całuje, a ona, blada przed

chwilą, teraz purpurowa, oddaje mu pocału-  
nek.

Halle grzmia, ryczą od oklasków i wiwa-  
tów: królewski pocałunek, młodzieńczy, wio-  
senny pocałunek dwojga dzieciaków wzruszył  
wszystkich, a damy Hall, których dziecko  
nosi na swym policzku pocałunek monarszy,  
czują go wszystkie na swych tłustych twa-  
rzach i prężą staniki jedwabne, potężne, sło-  
niowe, aż materje trzeszczą.

Było istotnie coś bardzo ładnego w tej  
gruppie monarchy i dziewczyny z ludu, coś  
z tych odległych epok pasterek, które królo-  
wie na trony wsadzali, coś z zamierzchłych  
romantycznych epok, o których bają nam  
stare legendy i pieśni.

Nazajutrz adjutant królewski przyjechał do  
Hall, do działu owoców, gdzie wczorajsza bo-  
haterka sprzedaje brzoskwinie, nie piękniejsze  
od swej cery i wręczył jej olbrzymi bukiet  
od króla, prosząc ją w imieniu Alfonsa XIII  
o danie na pamiątkę swej fotografii z pod-  
pisem.

Król odjechał, jak widziadło senne, poga-  
sły illuminacje, powiędły kwiaty, znikły flagi  
i maszty strojne w zieleń, a tylko tam, pod  
szklaną kopułą Hall, za stosami pachnących  
truskawek, melonów, brzoskwiń, płacze w nie-  
utulonej nostalgii jedna dziewczyna „którą  
pocałował król.“

Mówiono mi, że zmieniła się zupełnie: ma-  
rzy o tym jasnym panu, nosząc w sercu wy-  
ryty obraz tego nieuchwytnego, wielkiego,  
tego, który na szczytach społeczeństw stojąc,  
tylko największych świata zna osobiście, a któ-  
ry ją, anonim z tłumu, przycisnął do swej  
młodej piersi.

Królestwa efemeryczne, chwilowe sławy.

Tak smutnemi są zawsze po jednym dniu  
panowania, po motylem istnieniu królewsko-  
ści, te małe królowe karnawałów paryzkich,  
prowadzane na tronach przez ulice w otocze-  
niu tłumów, aby nazajutrz znowu zniknąć  
w niepamięci.

„*Vanitas Vanitatum...*“ — mówi Eklezyasta.

Chwilowy tryumf, minuta upojenia, owa  
mała „*gloriole*“ i wielka sława jednako kar-  
mią ambicję.

Tryumf pisarza, artysty, cześć i sława mę-  
ża stanu w oczach tłumu takąż mają nagro-  
dę, jak efemeryczna sława wielkiego cyklisty,  
czy zwycięzcy dżokeja. Takim świat.

Zwycięstwo dżokeja, — wyścigi szereg wiel-  
kich, silnych wrażeń tu niemniejszych i in-  
tensywniejszych, niż gdzieindziej,

Przyjrzałem się z bliska w ostatnich cza-  
sach wyścigom we Francji i sądzę, że tru-  
dno znaleźć ciekawszy temat do studyów,  
nietylko społecznych, ale i dotyczących za-  
gadnień psychologii tłumu.

We Francji wyścigi, — to wielki szmat ży-  
cia społecznego. To nie tak, jak u nas  
przelotna chwila zajęcia się sportowem zapa-  
sami; tu wyścigi to kawał życia, to integral-  
na częśćka narodowej czynności, zwłaszcza  
i głównie, rzecz prosta, w Paryżu, gdzie wy-  
ścigi trwają rok okrągły na tych niezliczo-  
nych torach, okalających miasto.

A tory te są przesliczne: obok torów Pa-  
ryzkich, jak Longchamp i Auteuil, mamy  
przecudnie położone tory w St.-Cloud, En-  
glien, Maisons-Laffite, Chantilly, Colombes,  
St.-Ouen, Compiègne, Rambouillet i t. d.

Codziem o drugiej po południu rozpoczy-  
niają się biegi i codziem od dwunastej po-  
ciągi przepełnione pasażerami, wszelkie czte-  
rokonne breki, powozy, samochody, dorożki  
i tramwaje wiozą tłumy na tory wyścigowe.

W „*pesage*“, gdzie dwudziesto-frankowe  
bilety wejścia dopuszczają tylko zamożniej-  
szych, znajdując się przepysznie urządzone  
trybuny, biura dla pracy, telegraf, telefon,  
i... book-makerzy.

W „*pelouse*“, gdzie miejsce kosztuje fran-  
ka, albo trzy, gromadzi się tłum, — ale jaki  
tłum!

Tu widzimy całe stada starych kobiet, od-  
dzwicznych, małych rentyerek, byłych dam  
z półświatka, które z czarnych, wielkich wo-  
rów wyciągają najrozmaitsze pisma sporto-  
we, notatniki, i ołówki i siedzą na składa-  
nych krzeselkach, lub wprost na murawie,  
obliczają, kombinują, szukają tego konia, któ-  
ry ma im wygraną przynieść.

Kiedy dzwonek ogłasza rozpoczęcie biegu,  
i na wieżyczkach wyskakują numery koni  
i nazwiska dżokei, co ich dosiadać mają, ja-  
kaś gorączka ogarnia wszystkich.

Przed okienkami totalizatora tłumy się ci-  
sną, inni biegają po owe „*butingi*“, to jest  
gieldowe wykazy do book-makerów, a każdy nie-  
sie ostatni grosz nieraz, byle spróbować szczę-  
ścia.

Robotnicy w bluzach, brudni, poplamieni,  
kobiety ze sznurowym wózkiem pełnym pro-  
wizyi, setki ludzi wszystkich stanów oma-  
wiają warunki koni, używają odpowiednich  
technicznych wyrażen; kobiet zwłaszcza mnóz-  
stwo. Są tu takie, które od wielu lat co-  
dzień są na wyścigach, nie opuszczając dnia  
jednego, kombinując w domu całe systemy,  
notując trafnie każdego konia, grając ostro-  
źnie, żyjąc nieraz z wyścigów.

Naokoło torów rozwijają się te niezliczone  
industrie, jak liczne pisma sportowe, z któ-  
rych każde podaje kilka kombinacji gry, fa-  
worytów na każdy bieg.

Dalej, gdy się dojeżdża do torów, spotyka-  
my liczne bary czekające na przechodniów,  
a pod płotami torów, na samych torach na-  
wet, widzimy sprzedających „*Kombinacje nie-  
zawodne*“, zaklejone koperty, z nazwami ma-  
jących zwyciężyć koni.

I pod jasnym niebem letniem w tym tłu-  
mie wre gorączka gry, zysku, owa niezdrowa  
atmosfera domów gry...

Bieg skończony, wymieniają numery zwy-  
cięzców i naraz widzimy twarze śmiejące się  
waryacko, szalone z radości, obok innych,  
z rozpaczliwymi gestami rzucających pod no-  
gi bilety totalizatora: twarze zgorączkowane,  
czerwone, pełne wszystkich namiętności.

Teraz wszyscy stłaczają się na placu, gdzie  
za chwilę wywieszają wysokość wygranej, — a  
potem rozpierzchnie się to wszystko, depe-  
cząc ci po piętach, by robić nowe kombin-  
acje na przyszłą grę. Koło budynków,  
gdzie ważą dżokejów, pod osłoną specjalnie  
urządzoną, stoją book-makerzy z książkami,  
do których zapisują stawki. U nich grają  
najważniejsi gracze i właściciele koni, lu-  
dzie bogaci, po kilka tysięcy franków stawia-  
jąc na konia. Ztąd też rozchodzi się giel-  
dowy wykaz wartości obstawienia koni.

Od jesieni, na mocy decyzji ministeryalnej,  
zniknąć mają book-makerzy. Rozporządzenie  
to atoli jest w istocie tylko pozornem, gdyż  
zostawiono prawo zakładów osobistych: będą  
więc nadal istnieć book-makerzy, ale nieofi-  
cjalnie i bez książek.

Miliony przewalają się tu codziem na to-  
rach wyścigowych, miliony przepływają z je-  
dnych kieszeni do drugich, zostawiają spory  
procent towarzystwom sportowym, które wz-  
mian dają duże nagrody i wprost bajecznie  
organizują i same biegi i tory.

Przepysznie położone, przeslicznie zbud-  
wane, pełne trawników, kwiatów, klombów,  
tory paryzkie są nader miłym miejscem spa-  
cerowem, pełnym przytem silnych wrażeń.

Widziałem na Grand Prix w Longchamp  
łyzy w oczach pana Ephrussi, gdy koń jego,  
Finasseur, zdobył wielką nagrodę (200,000  
franków).

A trzeba przyjrzeć się twarzom i ruchom  
graczy. Gdy dzwonek oznajmia rozpoczęcie  
biegu i na basztach ukaza się numery biega-  
jących koni, wszyscy z oczyma wlepionymi  
w program, kombinują, wertują pisma, poda-  
jąc codziem przeróżnych faworytów, a potem  
biegną ku szeregowi biur totalizatora, zdoby-

wać kolorowe bilety, mające przynieść wygraną.

Po tem nowy dzwonek i konie idą do startu. Pseudo-znawcy z próbných galopów wróżą o doskonałości konkurentów, tłok coraz większy panuje przy biletach, ostrożniejsi przyglądają się numerom wystawionym, aby dojrzeć, jakie konie są najwięcej obstawione i grają na te właśnie konie.

Jeszcze dzwonek... Po nim suchy łoskot zamykanych krat totalizatora. Z baszt szybko znikają numery—konie biegną. Wszyscy, zwróceniem w stronę ścigających się, krzyk głuchy, ryk... wstają wszyscy... każdy krzyczy nazwisko zwyciężającego konia, niektórzy, mimo widocznej przegranej wołają nazwę swego faworyta. Jeszcze chwila. Konie przebiegły budkę sędziów, gdzie za chwilę ukażą się numery znanych zwycięzców.

K. D.-S.

(Dokończenie nastąpi).



## Kronika działalności kobiecej.



— Kobiety, jako badaczki naukowe. Pośród uczonych, którzy 30-go Sierpnia naukowo obserwować będą całkowite zaćmienie słońca, znajduje się też pani Mabel Loomis-Todd, córka dyrektora obserwatorium astronomicznego w Stanach Zjednoczonych, a żona profesora astronomii w Amherst-College, asystentka przy katedrze swojego męża. Pani Todd napisała już nie jedną popularną książkę z dziedziny kosmografii i astronomii i obecnie pisze też popularne dzieło o całkowitem zaćmieniu słońca. Ponieważ mąż jej zajęty jest właśnie ustawianiem nowego teleskopu w obserwatorium, gdzie jest profesorem, pani Todd prowadzić będzie swoją pracę zupełnie samodzielnie.

Wdowa po podróżniku naukowym, Leonidasie Hubbard, przedsięwzięła wyprawę arktyczną w celu badań naukowych. Ma ona zamiar prowadzić dalej topograficzne badania swego męża, nieodstraszona tem, że on padł ofiarą zimna i głodu.

Podróżnikowi Peary, który wkrótce udaje się z Ameryki w podbiegunową podróż, towarzyszyć będzie, jako główny jego pomocnik, miss Bab, w średnich latach, wysokiej wiedzy kobieta, wychowawczyni jego dzieci. Zadaniem miss Bab, która wyuczyła się doskonale zakładać i obchodzić się z telegrafem bez drutu, będzie stałe utrzymywanie łączności pomiędzy członkami wyprawy a zewnętrznym światem.

— Londyn. Ogólne zebranie Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony moralności młodych dziewcząt („National Vigilance Association“) odbyło się w bież. miesiącu w Londynie, w Westminster Palace Hotel, przy udziale 350-ciu zaproszonych osób, należących do najróżniejszych sfer towarzyskich i różnych wyznań.

Prezes Towarzystwa, Earl of Aberdeen, odczytał nader interesujące sprawozdanie z działalności Towarzystwa za ubiegłe 2 lata, przy czem okazało się, że połączenie się z takimże Towarzystwem w Paryżu, sprawie Ochrony wielkie oddaje usługi. Towarzystwo, działające też jako „ubiegające“ nieszczęściu przed dwu laty ustanowiło tak zwaną „kolejową komisję.“ Znaczna liczba pań, władających wielu językami, pracuje z prawdziwym poświęceniem nad tem, aby młode, obce dziewczęta, przybywające do Londynu ustrzedz przed niebezpieczeństwami wielkiego miasta. Z „National Vigilance Association“ Londyńskim współdziałają także towarzystwa w in-

nych wielkich miastach Europy, dla tego więc nazywa się Towarzystwem międzynarodowym. Rząd angielski przyjął czynny udział w sprawach „Vigilance Association“, wiele dziewcząt, kłamliwymi obietnicami znęconych, przybyłych do Londynu z różnych rzesz, nawet i bardzo dalekich stron, kosztem rządu powrócono do miejsc rodzinnych i nadal pomoc taka jest Towarzystwu przez rząd angielski zapewniona.

— Ameryka. Kobiety, walczące w Stanach Zjednoczonych o równouprawnienie przy politycznym głosowaniu, zyskały nieoczekiwane silnego protektora swej sprawy, w osobie sędziego przy sądzie wyższym w Stanach, Dawida J. Brewera, który oświadczył kategorycznie, że jeżeli niegdyś uważał prawo głosu dla kobiet za niepraktyczną teorię, to jednak przez doświadczenie zmienił w tym względzie zdanie zupełnie. W Stanach: Colorado, Wyoming, Utah i Itacho prawo głosu, udzielone kobietom, w wynikach okazało się nader korzystne. Przy rozwoju i samodzielności amerykańskich kobiet zupełne polityczne równouprawnienie w przyszłości, wcale nie jest wykluczone, że pewnego pięknego dnia Ameryka zadziwić może świat wyborem kobiety na prezydenta. Tymczasem jednak kandydaci, stojący przed urną wyborczą w 1905 r. mogą jeszcze spać spokojnie.

Z. S.



## Kroniczka.



— Pora letnia, a zwłaszcza obecnie panujących upałów, nasuwa ustawicznie chęć odświeżenia całego ciała w zimnej kąpieli. Mamy przecież Wisłę eksploatowaną bez miłosierdzia i stanowczo niewystarczającą na potrzeby mieszkańców miasta. Łazienki, jakie są na warszawskim brzegu, są zbyt szczupłe, jako pomieszczenie względnie do ilości oczekujących osób, amatorów rzecznej kąpieli. Łazienki na brzegu prazkim są zbyt oddalone dla osób zmuszonych liczyć się z czasem. Już dostanie się do łazienek przedstawia niemalą trudność; trzeba się wprawdzie dobrze umęczyć, zakurzyć, poodbijać nogi, nadwreżyć obuwie, schodząc w dół Tanką (pozbawioną prawego chodnika) lub Książęcą i Ludną ku brzegom Wisły.

Trud ten nie kończy się z przybyciem na miejsce. Korytarze są ciasne, ciemne, wieczorem licho oświetlone, cele ciasne, duszne, urządzenie ogólne pełne pretensjonalności i bardzo lichego szyku. Te oleodruki, zasłonki, dywaniki, mające niby to uosabiać komfort, są tak rozbieżne z estetyką, jak kąpiele z prawdziwą wygodą i pożytkiem. Krzywe, nadtłuczone lub spekane lusterko, stare zużyte biurko, krzywe, obslizgłe schodki, składają się na całość wnętrza rozbierni, w której nawet spokojnie kwadrans spędzić nie pozwalają.

Ale ludzie przyjmują wiele rzeczy tak, jak są, nie myśląc, że mogłoby być lepiej. Obecnie istniejące kąpiele dla ludzi średnio kulturalnych są po prostu męczarnią i ochłodzenie kilkominutowe nie równoważy poprzedzającego i następującego zmęczenia. Mają za sobą jeden względnie poważny: taniść. W sprawie higieny zrobiono w ostatnich czasach bardzo wiele; należałoby pomyśleć jeszcze o ulepszeniu i udogodnieniu kąpieli istniejących. Dzieci z ogrodów Rau'a, ochrony i t. p. biedni i biedacy korzystają z nich przeważnie darmo, czy to dzięki filantropii, czy też obchodząc się zupełnie bez pomocy łazienek. Ale ztąd wynika drugie zło: częste utonięcia. Rubryki wypadków w dobie obecnej zapełnione są tego rodzaju wiadomościami. Rok rocznie Wisła pochłania setki ofiar w porze letniej — i nie tylko z pośród dzieci, lecz nawet stosunkowo znaczny procent dorosłych. Powodem tych nieszczęść jest nieumiejętność pływania rozpowszechniona wśród ogółu. W czasie wycieczek parostatkami i łódkami po Wiśle wypadki utonięcia są na porządku dziennym.

W powyższej sprawie zabiera równocześnie głos p. Z. D. w „Gazecie Polskiej“, nadmieniając, iż sport wioślarski i pływacki jest u nas słabo rozwinięty. A cóż dopiero mówić o sportowych stowarzyszeniach kobiecych! Te do-

tychczas nie istnieją, a być może istniećby mogły przy pewnej inicjatywie. Klub pływaczek i wioślarek byłby bardzo pożądanym. Sport rozwija sprawność fizyczną, umiejętność używania mięśni, odwagę i przytomność umysłu w niebezpieczeństwie.

Tymczasem szkół pływania mamy zaledwie kilka i to męzkich, choć „instruktorkami“ bywają i kobiety. Nauka oprócz kostiumu, tysiąca nadliczbowych wydatków, opłaty za komunikację, wynosi rubli 15. Trochę drogo na średnio zamożną kieszeń, która z każdym groszem liczyć się musi. Zatem—pragnęlibyśmy szkoły kobiecej i nauki pływania możliwie jak najtańszej, aby ją można było wszystkim udostępnić; następnie z powodu owej drożyzny dorzucić muszę jeszcze słów kilka o kąpielach ciepłych, które wynoszą 50, 60 kopiejek na osobę. Niby to drobiazg, ale... nie często można sobie nań pozwolić. Gdyby urządzone być mogły przyzwoite, schludne, z gwarancją zdrowia osobistego—kąpiele ciepłe i zimne w cenie 15, 20, 30 kop. od osoby. Komfort może być wykluczony: czystość idealna i nieco wygody, oto wymagania obecnej higieny zdrowia. Poruszam tę myśl w nadziei, że znajdzie ona inicjatorów i wykonawców.

— Majster rymarski, p. Adam Zawadzki, powziął myśl, aby przedstawiciele cechów tutejszych własnymi siłami i z własnych funduszy utworzyli dwie szkoły: męzką i żeńską, wyłącznie dla dzieci rzemieślników, należących do zgromadzeń cechowych. Projekt swój p. Zawadzki przedstawił starszemu zgromadzenia ślusarzy, p. Konstantemu Siarkiewiczowi, jako prezesowi IV-ej sekcji rzemieślniczej przy Muzeum popierania przemysłu i handlu, do rozpatrzenia na zebraniu wszystkich starszych cechmistrzów.

— „Goniec łódzki“ na czas nieograniczony zawieszono.

— W Lipsku otwarto wystawę wydawnictw pedagogicznych dla nauczania budowy ciała ludzkiego i najprostszycich zasad higieny. 810 wystawców nadesłało szereg obrazów do nauczania metodą poglądową. Doktorowie Zenenhal i Donalis wygłoszą odczyty, ilustrowane obrazami, na temat budowy i funkcji ludzkiego organizmu.

— W dniu 7-ym b. m. zakończył życie arcybiskup metropolita mohylowski, ks. Jerzy hr. Szembek, przeżywszy lat 54.

— W dniu 5-b. m. zakończyła życie s. p. Barbara Gadowska, matka redaktora „Gazety Polskiej“, w wieku lat 79.

— W ubiegłym miesiącu zmarła w mieście naszym b. p. Elżbieta z Orgelbrandów Michałowa Glücksbergowa, żona księgarza i wydawcy, przeżywszy lat 66.

— W Paryżu zmarł s. p. Józef Janasz, literat, esteta i tłumacz dzieł Sienkiewicza na język francuzki, nadto pozostawił kilka utworów dramatycznych. Liczył zaledwie lat 30.

— Dnia 4-go b. m. zmarł w Wiedniu Paweł Schönthan, znany pisarz, literat i krytyk. Rozgłośną jego komedią, pełną humoru, było „Porwanie Sabinek“, najlepszą pracą literacką—romans p. t. „Błękitni.“ Żył lat 52.



## ODPOWIEDZI.

— *Pustelnicy.*—Utwór pani M. K. p. t. „Ogień“ otrzymaliśmy. Prosimy o cierpliwość.

### Treść numeru:

Zwyrodnienie, przez Annę Grudzińską. — Joan. VIII, 1—12, przez Maryę Rodziewiczównę (ciąg dalszy). — Paź słońca (wiersz), przez Wiktora Dzierżanowskiego. — Żony mężów pracujących: V. Mąż, przez Jadwigę z Z. Strokową. — G. Flaubert: Legenda o świętym Julianie Gościnyńskim, tłum. M. Pankiewiczówna (ciąg dalszy). — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpiłowską (ciąg dalszy). — Kwestya kobieca w Japonii. — Nowy typ szkoły żeńskiej w Galicji, przez St. R. — Z listów do „Bliszczy“ z Paryża, przez K. D.-S. — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kroniczka. — Odpowiedzi. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 9-ty baśni dramatycznej w 4-ach aktach Einara Arne Chistiansena p. t. „Piotr Plus“, w przekładzie K. Łaganowskiego.

*Dodatek:* Opis ubiorów i robót (rycin 31). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

**Pierwszorzędna wykwinna pracownia**  
**SUKIEN I OKRYĆ**  
 oraz Szkoła Kroju i Szycia  
**„CHIC VARSOVIEN”**  
 ulica Złota № 25  
 wykonywa  
 pospiesznie i elegancko podług ostatnich modeli z własnych i powierzonych materiałów.  
 Zapis uczennic codziennie. Przy szkole pensjonat.

Szkoła Rękodzielnicza Cechowa dla Kobiet  
**K. MACZYŃSKIEJ-METHAL**  
 Mazowiecka 11, obecnie Śto-Krzyżka 31.  
 Przyjmuje pensjonarki, przychodnie, na różne rzemiosła; kwalifikuje na nauczycielki robot. Uczennice otrzymują patenty szkolne i świadectwa cechowe. Zapis od 22 Sierpnia.

**Źródłem siły  
 dla wszystkich osłabionych,**

wycieńczonych, zdenerwowanych, pozbawionych energii skutkiem przepracowania umysłowego lub fizycznego, jak również i dla tych, których choroby wyniszczające i silne wstrząśnienia moralne pozbawiły odporności — jest

**SANATOGEN BAUERA**

zaszczycony świadectwami przeszło 2000 lekarzy wszystkich krajów kulturalnych.

Prawdziwy tylko Bauera i S-ki w opakowaniu rosyjskim.  
 Wystrzegaj się bezwartościowych naśladownictw.  
 Broszury na żądanie wysła bezpłatnie S. Karczewski,  
 ul. Nowo-Senatorska No. 4 w Warszawie.

**GAZETA HANDLOWA.**

„GAZETA HANDLOWA” weszła obecnie w fazę stałych reform. Dotychczas Gazeta powiększyła już format, wzbogaciła treść i rozszerzyła koło współpracowników. Gazeta wychodzi również w niedziele i święta.

W ostatnich czasach jedna sobie szeroką poczytność we wszystkich kołach czytelniczych, jako pismo, które obok swej specjalności handlowo-przemysłowej, pożytecznej teraz dla każdego, zawiera obfitą treść ogólną.

„Gazeta Handlowa” obejmować będzie nadal główne działy następujące: artykuły wstępne, poświęcone sprawom społecznym, ekonomicznym i polityce; uwagi informacyjne i krytyczne nad sprawami chwili bieżącej; korespondencje z wszystkich ognisk życia; dział literacki i artystyczny; feljtony na temat spraw społecznych; najbogatszą w naszej prasie kronikę handlu, finansów i przemysłu; obszerną kronikę ogólną i polityczną; telegramy własne i Agencji Petersburskiej; odcinek powieściowy, teatralny i literacki; kronikę akcyjną; fachowe wskazówki społeczno-gospodarcze; wiadomości instrukcyjne (licytacje, losowania, wykaz spółek, wykaz zaliczeń na kolejach i t. p.); najbogatszy dział giełd, oraz targów zbożowych i towarowych, służący na podstawie do kontraktów.

W zakresie informacji handlowych i przemysłowych, czerpanych wyłącznie ze źródeł bezpośrednich, „Gazeta Handlowa” jest dowodem, nieodzownym w rękach każdego, kto zawiera jakiegokolwiek obroty i kto pragnie się zapoznać z biegiem całego życia ekonomicznego kraju; w działach ogólnych daje pełny obraz ruchu społecznego, politycznego, literackiego i artystycznego, holdując w ocenie zjawisk życiowych dążnościom szczerze liberalnym.

Naczelnym kierunkiem redakcyjnym „Gazety Handlowej” spoczywa w rękach **St. A. Kempnera.**

Gazeta korzysta ze współpracownictwa wszystkich prawie praktycznych ekonomistów w kraju i ma bezpośrednie stosunki informacyjne z wszystkimi instytucjami ekonomicznymi i handlowymi.

W działach ogólnych biorą udział liczne, pierwszorzędne siły literackie, które odznaczyły się talentem i niepodległością myśli.

Na żądanie posyła się **bezpłatnie** numery okazowe każdemu, kto poda swój adres.

Wydawca: **Piotr Laskauer.** — Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Июля 1905 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41.

Józef Jankowski.

**ZWROTKI**

Wydawn. GEBETHNERA i WOLFFA

Na wytwornym angielskim papierze z portretem autora



Cena 75 kop.

Zamawiający przez Redakcję „Bluszczu” nie ponoszą kosztów przesyłki.

Towarzystwo Akcyjne

**„Gazety Polskiej”**

z kapitałem 250,000 rubli (1000 akcji po 250 rubli).

W dniu 9 czerwca r. b. uzyskała zatwierdzenie Najwyższej ustawy Towarzystwa Akcyjnego „Gazety Polskiej” pod nazwą:

**TOWARZYSTWO AKCYJNE**

zakładów i wydawnictw

**„GAZETY POLSKIEJ”**

w Warszawie,

z kapitałem 250,000 rubli, rozdzielonym na 1,000 akcji, każda po 250 rubli.

Założycielem Towarzystwa jest obecny redaktor i wydawca „Gazety Polskiej”, Jan Gadomski.

Według § 1 Ustawy. Towarzystwo, obok innych praw, jakie mu przysługują, ma prawo posiadać i wydawać wszelkiego rodzaju wydawnictwa, a w pierwszym rzędzie te, które są dziś własnością Jana Gadomskiego, t. j. „Gazety Polską” i „Bibliotekę Dziel Wyborowych”. Dla nabycia też i prowadzenia tych wydawnictw, łącznie z drukarnią, a względnie dla prowadzenia innych wydawnictw, dla nabycia dla swoich zakładów osobnego domu i t. p. zakłada się to Towarzystwo Akcyjne „Gazety Polskiej”.

Nasze Towarzystwo Akcyjne dla wydawania pisma codziennego jest pierwszym tego rodzaju w Państwie.

Zapisy na akcje Towarzystwa Akcyjnego zakł. i wyd. „GAZETY POLSKIEJ”, przyjmuje założyciel Towarzystwa, Jan Gadomski, w lokalu Redakcji „GAZETY POLSKIEJ” w Warszawie przy ul. Wareckiej 14.

Zapisy mogą być nadsyłane pocztą.

Ustawę każdy otrzymać może na żądanie.

Założyciel Towarzystwa Akcyjnego zakładów i wydawnictw „Gazety Polskiej” w Warszawie

Jan Gadomski.

**List otwarty**

do p. Plato v. Reussner

Uczęć się niemieckiego języka, próbowałem rozmaitych podręczników i nauczycieli, ale rezultaty nauki były marne, prawie żadne. Dopiero z porady nauczyciela, p. Tews, rozpocząłem na nowo naukę przy pomocy Pańskiego „Samouczka”, z którego nauczyłem się po niemiecku, a potem po angielsku nadzwyczaj łatwo i prędko.

Dzięki więc znajomości niemieckiego i angielskiego języka, dostałem tu w Ameryce, bardzo korzystne zajęcia, o jakie się napróżno kuszą moi koledzy, nieznający tych dwóch języków. Wydatek na książki zwrócił mi się z tysiącnym procentem. Zatem uważam „Samouczek” Pański za najlepszy podręcznik w Europie i Ameryce, który cenę tysiąc razy wyżej, niż złoto i brylanty, bo te może łatwo ukraść złodziej, a „Samouczek” i wiadomość z niego nabyta jest niewyczerpanym źródłem skarbow, bezpiecznych przed złodziejami i rabusiami.

**LEOPOLD KUZWA.**

Toledo, Ohio, 224 Colburn-Str., Ameryka  
 Póln. Dnia 16-go Lipca 1905 r.

**BIURO NAUCZYCIELSKIE  
 „Z A Ł E S K I”**

przeniesione z ul. Berga na ul. Mazowiecką № 3, tel. 4214; poleca: nauczycielki, nauczycieli, bonny, sprowadza Francuzki z własnego biura w Paryżu.

**Prasuję** bieliznę męską bez szkodliwych dodatków.  
 Warecka № 9 m. 8.

WYNAŁAZCY SUDORYNU od POTU  
 KAWIOL na KŁAWIOLACH  
 APTEKARZA W WARSZAWIE  
 GRANICZNA 10  
 USUWA bez bólu  
 AP. KOWALSKIEGO, ODCISKI  
 BRODAWKI I SKÓRĘ ZGRUBIAŁA na PODESZWIACH.  
 KŁAWIOL-PLYN po 30 i 50 K.  
 NIESKUTECZNYCH, CZĘSTO I SZKODLIWYCH PREPARATÓW NIESPECYJALISTÓW.  
 STRZEŻ SIĘ ZADĄĆ WSZĘDZIE.

Przyjmuję suknie do szycia, wykonywam prędko i starannie.  
**Walerja Kowalska**  
 Śliska 32 m. 32.

WYNAŁAZCY KŁAWIOLU NA ODCISKI  
 SUDORYN od POTU  
 APTEKARZA W WARSZAWIE, GRANICZNA 10.  
 ŚWIETNIE USUWA ODPARZENIE POTU I WON  
 BLASZANKI z SITKIEM po 30 i 50 K.  
 ZADĄĆ NIESKUTECZNYCH WSZĘDZIE w BLASZKI I TEKSTURZE.  
 STRZEŻ SIĘ ZADĄĆ WSZĘDZIE.

Wzory ubiorów i robót do Nr. 33.

№ 1. Jesienny paltocik dla młodej panienki.  
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 23-28).

Luźny paltocik z covert coatu w kolorze *beige*, zapięty na dwa rzędy guzików, obciągniętych materiałem, ożywia kołnierz wykładany, wyszyty aksamitem w dowolnie wybranym, odrębnym od paltocika kolorze, np. w zielonym albo brudno ponsowym. Klapki i kołnierz wykończone po męzku. Przody paltocika opatrzone kieszonkami, przy których wystębnowane klapki przytrzymuje rygielek, też wystębnowany z materiału. Takież klapki stanowią przybranie gładkich, przy ramieniu ufaldowanych rękawów. Całość wykończona staranną stebnówką.

№ 2. Marynarska sukienka dla dziewczynki od 5-7 lat.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 87-95).

Zręczna sukienka z białego szewiotu składa się ze spódniczki, ułożonej w 12 płaskich fałd, tworzących z przodu kontrafałdę i schodzących się z tyłu i z luźnej, wyrzucanej bluzy, przytrzymanej gumową taśmą. Duży marynarski kołnierz z satyny, naszyty plisami z satyny granatowej, odpowiednie mankietki i napierśnik przybierają bluzkę. Kołnierz podwiązany fularowym krawacikiem. Spódniczka szeroko obrębiona, kilkakrotnie przestębnowana granatową nitką.



Szkic a do ryc. 4.



№ 3. Kostium do podróży z wciętym paltocikiem.

Przybranie skromnego, lecz dystyngowanego kostiumu z granatowego szewiotu, stanowią stebnowane plisy z materiału i złożone guziki. Spódnica gładka, wykończona bez podszewki. Paltocik wcięty, wykończony po męzku, podszyty piękną jedwabną podszewką, zapięty na jeden rząd złożonych guzików. Kostiumu dopełnia flanelowa, batystowa, lub jedwabna bluzka, w odrębnym, żywym kolorze.

№ 4. Płaszcz od deszczu albo do podróży.  
(Patrz szkic a).

Płaszcz z ostrego pledowego materiału, w zielone i brązowe kraty w kilku cieniach, kryto zapięty, może być sporządzony bez podszewki, albo na bardzo leciutkiej jedwabnej. Płaszcz przybierają mankiety i kołnierz z klapami, wykończony po męzku z sukna gładkiego w tonie najjaśniejszej kraty, naszyte plisami z sukna ciemniejszego. Rękawy przy rękę wązkie, przy ramieniu ułożone w fałdy.

Potrzeba: 5 mtr. angielskiego, pledowego mat. podw. szer., 10 ctm. jasnego, 1/4 mtr. ciemnego sukna.

№ 5. Kostium z krótkim kaftanikiem, przybrany sutaszem i czapeczka do podróży.

№ 1. Jesienny paltocik dla młodej panienki.  
(Krój pierw. str. tabl. Fig. 23-28).

Kostium z lekkiego, ostrego, wełnianego materiału w kolorze niewarowego płótna przybiera o ton jaśniejszy sutasz i kółka z sutaszu, zastępujące guziki. Spódnica w około równa, na szwie każdego bryta, do wysokości kolan złożona w fałdy, przytrzymane kółkami z sutaszu, od których sutasz w formie długich patek pokrywa szew brytu.



№ 2. Marynarska sukienka dla dziewczynki od 5-7 lat.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 87-95).

№ 3. Suknia do podróży z wciętym paltocikiem.  
(Krój odw. str. tabl. Fig. 64-70).

№ 4. Płaszcz od deszczu albo do podróży.  
(Patrz szkic a).

№ 5. Kostium z krótkim kaftanikiem, przybrany sutaszem i czapeczka do podróży.



№ 6. Ubranie dla chłopca od 8—10 lat.

ne przy rękę w zakładki. Biały kołnierzyk wykładany z płótna lub panamy, podwiązany jasną krawatką.  
Potrzeba: 2 mtr. panama podw. szer., 2 mtr. podszewki w paski, 2 mtr. podszewki gładkiej pod bluzkę.

№ 7. Suknia z faldowaną bluzką dla młodej panienki. (Patrz szkic e).

Materyał: wełna szara w zieloną kratkę. Spódnica na bokach lekko, z tyłu suto zmarszczona, zakończona w dole 8 ctm. szeroką, skośnie stębnowaną plisą. Ufałdowaną w około bluzkę, wszytą w karczki zakończony w kształcie skrzyżowanych patek.



№ 11. Kostium wizytowy z frakowym stanikiem. (Patrz szkic b).

Spódnica bez podszewki. Krótkie bolero, z przodami lekko w dole zachodzącymi jeden na drugi, złożone z przodu i na plecach w płaskie faldy, oszyte kilkakrotnie sutaszem, przybierają kółka z sutaszu i pętelki. W dni gorące bolero dopełnić można szmizetką płócienną, batystową, jedwabną i t. p. w dni chłodne koszulową bluzką.

Plaska, bardzo dziś modna czapczka z materyału, przy kostymie tym z białego wykonana szewiotu, z główką szeroką i małą, mocno przestębnowanym rondkiem, opasana białą woalką, nadaje całości wdzięk młodociany.

Kotrzeba: 7 mtr. materyału podw. szer., 20 mtr. sutaszu, 2 1/2 tuzina kólek z sutaszu.

№ 6. Ubranie dla chłopca od 8—10 lat.

Ubranie z granatowego materyału panama składa się z prostych majteczek, wykonanych na jasnej, prążkowanej podszewce i z bluzy, ułożonej z przodu w trzy, 5 ctm. szerokiej kontrafaldy, wyrzucanej dookoła i przytrzymanej skórzanym paskiem. Środkowa kontrafaldy przykrywa zapięcie. Rękawy koszulowe zastębnowane przy rękę w zakładki. Biały kołnierzyk wykładany z płótna lub panamy, podwiązany jasną krawatką.

Potrzeba: 2 mtr. panama podw. szer., 2 mtr. podszewki w paski, 2 mtr. podszewki gładkiej pod bluzkę.

№ 7. Suknia z faldowaną bluzką dla młodej panienki. (Patrz szkic e).

Materyał: wełna szara w zieloną kratkę. Spódnica na bokach lekko, z tyłu suto zmarszczona, zakończona w dole 8 ctm. szeroką, skośnie stębnowaną plisą. Ufałdowaną w około bluzkę, wszytą w karczki zakończony w kształcie skrzyżowanych patek.



№ 7. Suknia z faldowaną bluzką dla młodej panienki. (Patrz szkic e).

przybierają okrągłe, oksydowane guziki, biały batyst, koronka, odpowiednia wstawka i taffetas. Do łokcia sięgające bufiaste rękawy, zakończone plisowanymi wstawkami i batystowe, plisowane falbanki, zdobne wstawkami i koronką. Żabot, przeciągnięty pod karczkiem wykonany odpowiednio. Pasek z taffetasu zapięty z tyłu pod kłamrą.

№ 8. Bluzka z lekkiej materyi odpowiednia dla osoby szczupłej.

Bluzkę z jasnej, lekkiej materyi, udrapowaną na dobrze dopasowanej podszewce, wymarszczoną z przodu w główkę i pod nią zapiętą, bardzo strojnie przybiera wstawka gipirowa, pokrywająca kołnierzyk stojący i przez ramiona przeciągnięta na rękawy, w górze suto przemarszczona. Przybrania dopełniają falbany koronkowe, przybierające rękawy aż do łokcia, oraz napierśnik z plisowanego chiffon.

Potrzeba: 4 1/2 mtr. materyi jedwabnej, 20 ctm. chiffon podw. szer., 1 mtr. wstawki gipirowej 7 ctm. szer., 2 1/2 mtr. koronki 10 ctm. szer., 2 1/2 mtr. koronki 7 ctm. szer.

№ 9. Praktyczny kostium z paltocikiem dla panienki od 14—16 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 46—56).

Kostium z ciemnego, wełnianego materyału składa się z krótkiej, ufał-



Szkic b do ryc. 11.

downej spódnicy, i z bardzo zręcznego, luźnego paltocika, którego całem przybraniem są ładne, perłowe guziki i bardzo staranna stębnówka. Na wierzchu stębnowane przody paltocika łączą się z karczkiem, przechodzącym na plecy. Kołnierzyk wykładany i kłapki, otoczone szeroką stębnówką, wykonane po mężku. Rękawy gładkie, angielskie, bardzo umiarkowane szerokie zakończone wystębnowanym mankiętem. Spódnica bez podszewki, paltocik na podszewce jedwabnej. Pod paltocikiem nosić można odrębną bluzkę, dobraną odpowiednio do pory i temperatury.

№ 10. Ubranie z kurtką dla chłopca od 10—12 lat.

Okrągło ściętą, otwartą z przodu kurtkę z granatowego kamgaru, wypełnia z przodu kamizelka z białej piki, ułożona w kontrafaldę i przymocowana do stanika z podszewki, z którym też połączone są krótkie, przy kolanach ściągnię-



№ 12. Kostium z materyału w kratkę. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 1—13).

№ 13. Kostium jesienny przybrany patkami.

te majteczki. Kurtka, wykończona na czarnej, półjedwabnej podszewce, obszyta brzeżem jedwabną czarną taśmą. Rękawy gładkie, wykończone po mężku. Biały płócienny kołnierzyk, podwiązany białą fularową krawatką w granatowe grochy.

Potrzeba: 2 mtr. kamgaru podw. szer., 1 1/2 mtr. półjedwabnej podszewki też podw. szer., 3 mtr. taśmy, 4 guziki, 1/2 mtr. piki, 1/4 mtr. czarnej mat. na pasek, krawat.

№ 11. Kostium spacerowy lub wizytowy z frakowym paltocikiem. (Patrz szkic b).

Materyał: tweed w kolorze dymu w ciemniejsze kraty na jaśniejszym tle. Szeroką spódnicę, złożoną do tyłu w faldy, przybiera w dole pociętą, jedwab-

№ 8. Bluzka z lekkiej materyi odpowiednia dla osoby szczupłej.



№ 9. Praktyczny kostium z paltocikiem dla panienki od 14—16 lat. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 46—56).

na taśmą ułożoną w zaokrąglone, oddzielne figury. Odpowiednie naszytą z białego sukna i aksaminnym kołnierzem, zakończony z tyłu długim frakiem. Kamizelka z materyi w tonie sukna, zapięta na złożone guziczki, wypełnia przody stanika. Napierśnik z białego tiulu *point d'esprit*. Rękawy do łokcia wązkie, przy ramieniu bardzo umiarkowanie nafaldowane.

Potrzeba: 7 1/2 mtr. tweed'u podw. szer., 3/4 mtr. białego sukna, 1/2 mtr. materyi jedw., 15 ctm. ukosu aksaminnego, 20 ctm. tiulu, 23 mtr. taśmy, 2 tuziny guzików.

№ 12. Kostium z materyału w kratkę. (Krój pierw. str. tabl. Fig. 1—13).

Kostium z modnego materyału w kolorze grochowym w brązową drobną kratkę, przybiera białą i brązową materya, oraz ozdobne guziki. Spódnica, sporządzona bez podszewki, podszyta na wysokości kolan w odstępach wstawianymi faldami, przytrzymanymi w górze patkami przymocowanymi guzikami i tworzącymi rodzaj falbany. Szwy spódnicy i patki podłożone wypustkami z materyi. Wysoki pasek z brązowej materyi obcisła bluzkowy stanik, otwarty na koszulce z plisowanego chiffon. Kołnierzyk pelerynkowy podniesiony pod wykładany, podwójne wyłogi przymocowane guzikami. Rę-



Szkic c do ryc. 7.



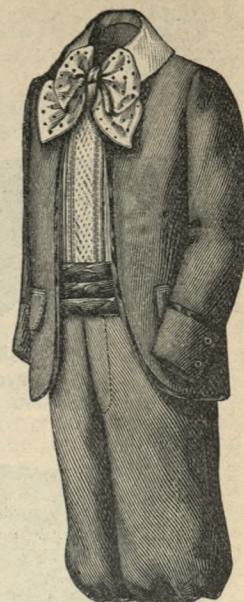
Szkic d do ryc. 13.

kawy do łokcia bufiaste, przytrzymane wązkim rękawkiem, wyciętym w zęby. Brzeżi wszystkie wykończone wypustką z materyi. Krawat biały batystowy à jour haftowany.

№ 13. Kostium jesienny przybrany patkami. (Patrz szkic d).

Zieloną wypustką wykończone plisy z wyciętymi przy nich z jednej strony patkami przybierają kostium z wełnianego materyału w białe i czarne kratki. Każda z patek przymocowana guziczkiem, obciągnięty zielonym sukmem. Spódnica wzdłuż przodów do wysokości kolan i na tej wysokości w około, naszyta plisą gładką, ze szwem z przodu, z tyłu złożoną w faldy. Stanik, obciągnięty na dobrze dopasowanej podszewce, ułożony z przodu w cztery poprzednie faldki, z których każda przytrzymana patkami. Przody wypełnia kamizelka z zielonego sukna i żabot koronkowy. Kołnierzyk od kamizelki stojący wykładany szeroko przestębnowany. Plecy stanika na ramionach przechodzą na przody i wycięte w kształcie patek tworzą zręczne naramienniki. Środkiem plecy złożone w szeroką faldę przez stan przeciągniętą i zakończoną guzikiem. Z pod faldy wysunięty wązki pasek z materyału, skrzyżowany, zapięty z przodu. Rękawy bluzkowe, od łokcia przybrane patkami, przy rękę obcisnięte plisą z materyału, podłożoną wypustką i zakończone koronkową falbaną.

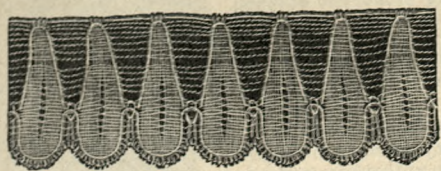
Potrzeba: 7 mtr. materyału podwójnej szerokości, 1 mtr. zielonego sukna, 3 1/2 mtr. koronki, 5 tuzinów guzików.



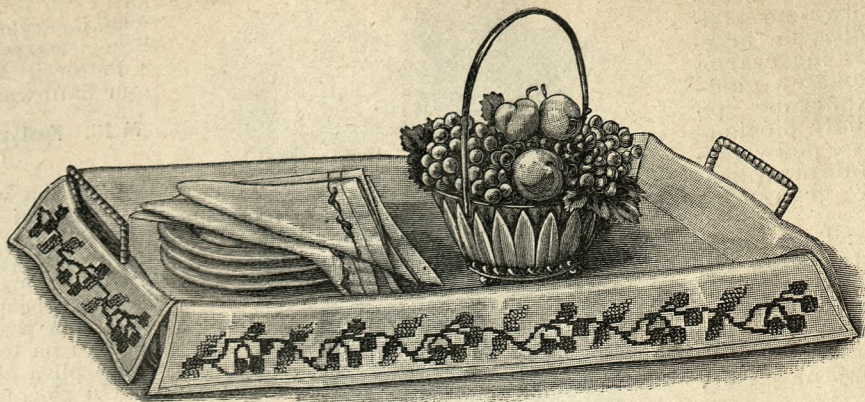
№ 10. Ubranie z kurtką dla chłopca od 10—12 lat.



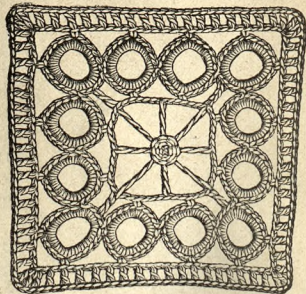
№ 14. Kostium z frakowym stanikiem przybrany pasmanterją.



№ 15. Część tasiemeczki do oszycia ryc. 24. (Wielkość oryginalna).



№ 16. Przykrycie tacy, zdobne wysyciem. (Krój i deseń pierw. str. tabl. Fig. 57-58).



№ 17. Kwadrat robota szydełkową do ryc. 23. (Nieco zmniejsz.).



№ 18. Majtki do zreformowanych ubrań dla starszej osoby. (Krój odw. str. tabl. Fig. 132-134).

Obiad na Niedzielę.

Zupa rakowa.  
Karp z wody z kaparowym sosem.  
Połędwica pieczona na rożnie, z grzybami.  
Szpinak z omletem.  
Kuropatwy.  
Kompoty, sałata.  
Krem karmelowy.

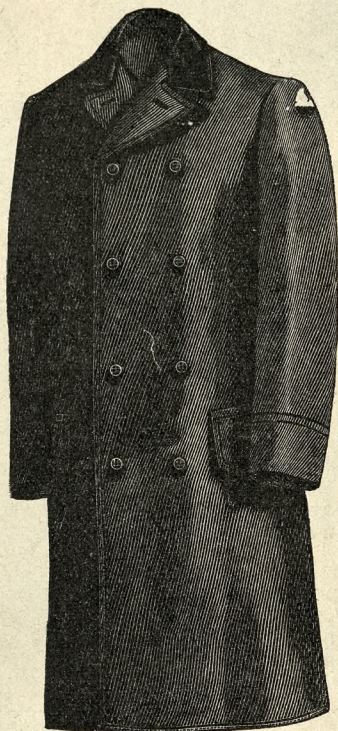
Zupa rakowa.  
Wątróbka duszona z pieczarkami.  
Połędwica z kartofelkami i z sałata.  
Krem waniljowy.



№ 20. Spódnica z plisowanymi falbankami dla starszej osoby. (Krój odw. str. tabl. Fig. 114-118).



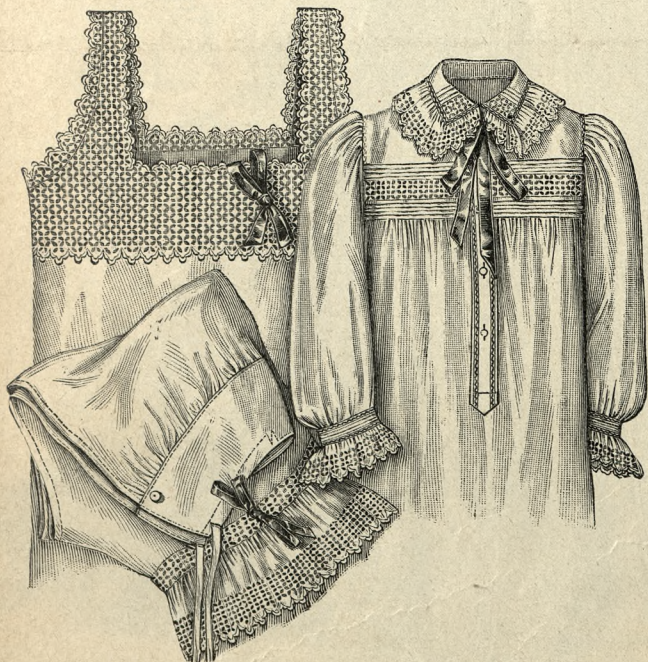
№ 21. Sukienka domowa dla dziewczynki od 4-5 lat. (Patrz ryc. 22). (Wzór pierw. str. tabl. Fig. 62).



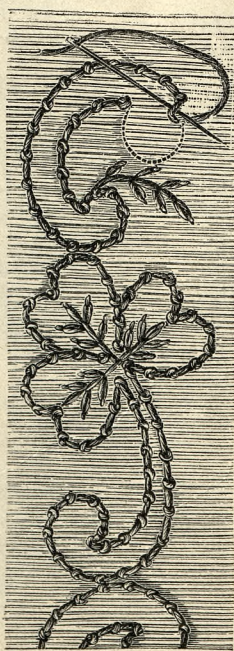
№ 19. Paltot dla chłopca od 13-15 lat. (Krój odw. str. tabl. Fig. 128-131).



№ 23 i 24. Szmizetka ozdobiona szydełkowymi kwadratami i chusteczkowy koronkowy kołnierz. (Patrz ryc. 15 i 17). (Krój i deseń odw. str. tabl. Fig. 135 i 136 i pierw. str. Fig. 59-60).



№ 25, 26 i 27. Koszula dzienna, koszula nocna i majtki dla osoby dobrej tuszy. (Krój i wskazówki odw. str. tabl. Fig. 103-113).



№ 22. Część wysycia do ryc. 21. (Wielkość oryginalna).



№ 28, 29, 30 i 31. Koszula dzienna, majtki, nocny kaftanik i czeppek dla osoby w podeszłych latach. (Krój i wskazówki pierw. str. tabl. Fig. 34-45).